

STANISŁAW LEM

# ODRUCH WARUNKOWY

(sc&a1)

[www.bookswarez.com](http://www.bookswarez.com)

Zdarzyło się to no czwartym roku, przed samymi wakacjami. Pirx, który przeszedł już wszystkie ćwiczenia praktyczne, miał zaliczone loty na symulatorach i dwa prawdziwe oraz “samodzielne kółko” to znaczy lot na Księżyc z lądowaniem i powrotem. Czuł się starym wyjadaczem kosmicznym, próżniowym wygą, którego domem są planety, a jedynym ulubionym odzieniem znoszony skafander: wyga taki w przestrzeni pierwszy dostrzeżga nadlatujące meteory i sakramentalnym okrzykiem “uwaga! rój!” oraz błyskawicznym manewrem ratuje od zagłady statek, siebie i mniej bystrych towarzyszy. Tak to sobie przynajmniej wyobrażał, z ubolewaniem konstatując przy goleniu, jak zupełnie nie znać po nim ogromu przebytych doświadczeń. Nawet paskudny wypadek z aparatem Harrelsbergera, który eksplodował mu pod rękami podczas lądowania na Sinus Medii, nie przysporzył mu ni jednego choćby siwego włosa. Co tam - zdawał sobie sprawo z jałowości myślenia, o siwiźnie (wspaniale byłoby jednak mieć oszronione skronie’), ale żeby się choć parę zmarszczek przy oczach zrobiło, wskazujących od pierwszego wejrzenia, że powstały przy wyteżonym wypatrywaniu kursowych gwiazd tymczasem, jaki był puciołowaty, taki został. Drapał więc tępawą żyletką tę swoją gębę, której się skrycie wstydził, i wymyślał coraz bardziej wstrząsające sytuacje po to, aby na samym końcu stać się ich panem.

Matters, który częściowo znał jego zmartwienia, o częściowo się ich domyślał, radził mu, żeby zapuścił wasy. Czy rada była całkiem szczerą, trudno powiedzieć. W każdym razie Pirx w czasie porannej samotności przykładał przed lustrem kawałek czarnego sznurowadła do górnej wargi i aż się zatrząsał, tak to idiotycznie wyglądało. Zważył w Mattersa, choć ten może nie miał na myśli niczego złego, a już na pewno nie miała jego przystojna siostra, która powiedziała raz Pirxowi, że wygląda “szalenie pocziwie”. To go dobiło. W lokalu, w którym tańczyli, nie stało się co prawda nic z rzeczy, jakich się obawiał. Tylko raz pomylił taniec, a ona była na tyle dyskretna, że milczała, i dopiero po dobrej chwili zauważył, że wszyscy tańczą coś zupełnie innego niż on. Później jednak poszło jak z płatka. Nie deptał jej po nogach, jak mógł, starał się nie śmiać (bo od jego śmiechu ludzie odwracali się na ulicy), a potem odprowadził ją do domu. Od ostatniego przystanku szli dobry kawał pieszko i przez całą drogę zastanawiał się, co by też zrobić takiego, żeby pojęła, że wcale nie jest “szalenie pocziwy” te słowa zalazły mu za skórę. Kiedy już dochodzili do celu, ogarnął go popłoch.

Niczego bowiem nie wymyślił, a jeszcze, wskutek wyteżonego namysłu, zamilkł jak pień : w głowie jego rozprzestrzeniała się pustka, tym tylko różniąca się od kosmicznej, że wypełniona rozpaczliwym wysiłkiem. W ostatniej chwili przez myśl przeleciały mu jak meteory dwa czy trzy pomysły: żeby się z nią umówić, żeby ją pocałować, żeby gdzieś o tym czytał uściskać jej rękę w sposób znaczący, subtelny, a zarazem przewrotny i namiętny. Ale nic z tego nie wyszło. Ani jej nie pocałował, ani się z nią nie umówił, ani jej ręki nie podał... i gdybyż tak się to skończyło! Kiedy

powiedziawszy “dobranoc”, tym swoim przyjemnie łamiącym się głosem, odwróciła się do furtki i ujęła klamkę, ocknął się jego diabeł. A może stało się to po prostu dlatego, że w głosie jej wyczuł ironię, rzeczywistą lub wyobrażoną. Bóg raczy wiedzieć dość, że zupełnie odruchowo, kiedy się właśnie odwróciła taka pewna siebie, spokojna - oczywiście, dzięki urodzie nosiła się jak królowa jakaś (ładne dziewczęta zwykle tak się noszą), a więc dobrze - dał jej klapsa w tyłek, i to nawet, mocnego. Usłyszał lekki, stłumiony okrzyk: porządnie musiała się zdziwić! Ale nie czekał już na nic. Zawróciwszy na pięcie, zwał, jakby w strachu, że będzie go goniła... Matters, do którego nazajutrz zbliżał się jak do bomby z czasowym zapalnikiem, nic o tym incydencie nie wiedział. Problem owego osobliwego postępcu nękał Pirxa. Nie myślał wtedy nic (z jakąż łatwością mu to niestety przychodziło!), ale przylepił jej klapsa. Czy tak postępują szalenie poczciwi faceci?

Nie był całkiem pewny, ale obawiał się, że raczej tak. Po historii z siostrą Mattersa (unikał jej odtąd jak ognia) przestał w każdym razie robić rano miny do lustra. Przedtem bowiem upadł kilka razy tak nisko, że z pomocą drugiego lusterka szukał profilu swej twarzy, który by choć nieznacznie zaspokoił jego wielkie wymagania. Oczywiście, nie był pełnym idiotą i zdawał sobie sprawę ze śmieszności tych małych grymasów, ale z drugiej strony, nie śladów urody jakiejś szukał przecież na miłość boską, lecz charakteru! Czytał bowiem Conrada i z wypiekami myślał o wielkim milczeniu galaktycznym, o samotnym męstwie - a czyż można sobie wyobrazić bohatera wiecznej nocy, samotnika z taką gębą? Wątpliwości pozostały, ale z wykręcaniem twarzy przed lustrem zrobił koniec, ukazując sobie, jaką ma twardą, niezłomną wolę.

Troski te, tak nurtujące, zbladły nieco wobec nadciągającego egzaminu u profesora Merinusa, zwanego popularnie Merynosem. Egzaminu tego, prawdę mówiąc, nie bał się prawie nigdy. Tylko trzy razy przychodził do gmachu Astrodeзии i Astrognozji Nawigacyjnej, gdzie przed salą studenci zawsze czyhali na wychodzących od Merynosa, nie tyle, żeby fetować ich sukcesy, ile by się dowiedzieć, jakie też nowe, podchwytliwe pytania wymyślił Złowrogi Baran. Bo i tak nazywano srogięgo egzaminatora. Starzec ów, który w życiu nogi nie postawił nie to, że na Księżycu - progu rakiety żadnej nawet nie przekroczył - znał, mocą teoretycznej wszechwiedzy, każdy kamień wszystkich kraterów Morza Deszczów, grzbiety skalne planetoid i najbardziej niedostępne połączenia jowiszowych księżyców; powiadano, że posiada wszechstronną znajomość meteorów i komet, które zostaną dopiero odkryte za lat tysiąc, ponieważ już teraz drogi ich matematycznie przewidział dzięki ulubionemu swemu zajęciu, analizie perturbacyjnej ciał niebieskich. Ogrom tej wiedzy czynił go zgryźliwym wobec mikroskopijnych wiadomości studentów.

Pirx nie bał się jednak Merinusa, bo odkrył jego klucz. Stary miał własną terminologię, której prócz niego nikt nie używał w fachowym piśmiennictwie. Pirx zatem, wiedziony

przyrodzoną bystrością, zamówił w bibliotece wszystkie prace Merinusa i - nie, wcale ich nie czytał. Przekartkował je tylko wypisawszy sobie ze dwieście Merynosowych dziwolągów słownych. Profesor, usłyszawszy styl jego odpowiedzi, drgnął, podniósł strzępiaste brwi i zasłuchał się w Pirxa jak w słowika. Chmury, przeciągające mu zazwyczaj przez twarz, rozeszły się. Odmłodził prawie, bo było to, jakby słyszał siebie samego - a Pirx, uskrzydłony tą przemianą i własną beczelnością, parł dalej na całego z takim rezultatem, że gdy kompletnie zawałił się na ostatnim pytaniu (wymagało znajomości wzoru - cała Merynosowska retoryka nic nie mogła tu wskórać), profesor wpisał mu wielką czwórkę, wyrażając ubolewanie, że nie może dać piątki.

Tak, Merynosa osadził. Wziął go za rogi. Daleko większą treść odczuwał przed “wariacką kąpielą”, która była następnym i ostatnim etapem przed egzaminami dyplomowymi.

Na “wariacką kąpiel” nie było żadnych sposobów. Najpierw człowiek szedł do Alberta, niby tylko woźnego przy katedrze Astropsychologii Doświadczalnej, ale w rzeczywistości był on prawą ręką docenta i słowo jego ważniejsze było od opinii wszystkich asystentów. Albert, totumfacki jeszcze profesora Balle’a, który przed rokiem poszedł na emeryturę ku uciesze studentów i zasmuceniu woźnego (nikt go bowiem tak, jak profesor emeritus nie rozumiał), wiódł kandydata do małej salki w podziemiu, gdzie sporządzał mu parafinowy odlew twarzy. Odlew ten, po zdjęciu, poddawał małemu zabiegowi: w negatyw nosa wstawiał dwie metalowe rurki. To było wszystko. Następnie kandydat szedł na piętro, do “łaźni”. Nie była to naturalnie żadna łaźnia, ale jak wiadomo, studenci nie nazywają nigdy rzeczy ich właściwym imieniem. Był to spory pokój, z basenem pełnym wody. Kandydat czy, znowu wedle gwary studenckiej, pacjent rozbierał się i wchodził do wody, którą ogrzewano dopóty, aż przestawał odczuwać jej temperaturę. To było indywidualne: dla jednych woda “przestawała istnieć” przy 29, dla innych dopiero przy 32 stopniach. Dość, że kiedy spoczywający na wznak a w basenie młody człowiek podniósł rękę, wodę przestawano ogrzewać, a jeden z asystentów nakładał mu na twarz parafinową maskę. Następnie dodawano do wody jakiejś soli (ale nie cyjanku potasu, jak o tym poważnie zapewniali ci, co mieli już “wariacką kąpiel” za sobą), zdaje się zwykłej soli kuchennej. Dodawało się jej tyle, by “pacjent” (zwany też “topielcem”) pływał swobodnie tuż pod powierzchnią wody, nie wynurzając się, tylko metalowe rurki wystawały na wierzch, mógł więc swobodnie oddychać. To było w zasadzie wszystko. Uczona nazwa eksperymentu brzmiała “pozbawienie bodźców aferentnych”. W samej rzeczy, pozbawiony wzroku, słuchu, węchu, dotyku (bo obecność wody po bardzo krótkim czasie przestawało się wyczuwać), ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, niczym u mumii egipskiej, spoczywał “topielec” w nieważkim zawieszeniu przez kilka godzin. Jak

długo? Jak długo mógł wytrzymać.

Jak gdyby nic szczególnego. Jednakże z człowiekiem w takim położeniu zaczynają dziać się dziwne rzeczy. Każdy mógł naturalnie czytać o przeżyciach “topielców” w podręcznikach psychologii eksperymentalnej. Ale też przeżycia te były bardzo zróżnicowane indywidualnie. Trzecia część kandydatów nie mogła wytrzymać nie to, że sześciu czy pięciu, ale nawet trzech godzin. Wytrwałość była wszakże godna zalecenia, bo praktyki wakacyjne rozdzielano podług listy lokat: kto miał pierwszą, dostawał praktykę “ekstra” na różnych stacjach okołoziemskich. Z góry nigdy nie było wiadomo, kto okaże się “twardy”, a kto nie, “kąpiel” bowiem poddawała nie byle jakiej próbie spoistość, konsolidację osobowości.

Pirx przeszedł początek dość gładko, jeśli nie liczyć tego, że bez wszelkiej potrzeby schował twarz pod wodą, zanim jeszcze asystent nałożył mu maskę, w związku z czym łyknął jakąś kwartę wody i przy okazji przekonał się, że jest najzwyczajniej w świecie ślona.

Po nałożeniu maski postłyszał zrazu lekki szum w uszach. Znajdował się w doskonałej ciemności. Jak należało, rozluźnił mięśnie; woda unosiła go bez ruchu. Oczu nie mógł otworzyć, gdyby nawet chciał, uniemożliwiała to przylegająca do policzków i czoła parafina. Najpierw zaczął go swędzić nos, potem prawe oko. Przez maskę nie mógł się, naturalnie, podrapać. O takim swędzeniu nic nie mówiły relacje innych “topielców” widocznie byt to jego prywatny wkład w psychologię eksperymentalną. Spoczywał doskonale bezwładny w wodzie, która ani nie grzała, ani nie chłodziła jego nagiego ciała. Po paru chwilach stracił świadomość jej istnienia. Mógłby oczywiście poruszyć nogami albo choćby palami i przekonać się, że są śliskie i mokre, ale wiedział, że czuwa nad nim u sufitu oko rejestrującej kamery: za każde poruszenie były punkty karne. Wsłuchawszy się w siebie, po niedługim czasie mógł już rozróżniać tony własnego serca nadzwyczaj słabe i dochodzące jakby z ogromnej odległości. Było mu wcale niezłe. Swędzenie ustało. Nic go nie uwierało. Albert umieścił rurki w masce tak zręcznie, że nawet ich nie czuł. Niczego w ogóle nie czuł. Ta pustka stawała się niepokojąca. Najpierw zatracił poczucie położenia ciała, pozycji rąk i nóg. Pamiętał jeszcze, jak leży, bo o tym wiedział, w białej parafinie na twarzy. Stwierdził ze zdziwieniem, że on, który umiał zwykle określić czas bez zegarka, z dokładnością do paru minut, nie ma nawet najslabszego wyobrażenia o tym, ile minut - czy może już kwadransów? - upłynęło od zanurzenia się w „wariacką kąpiel”.

Kiedy się tak dziwił, zauważył, że nie ma już ciała ani twarzy, w ogóle niczego. Tak dobrze, jakby go w ogóle nie było. Wrażenia tego niepodobna nazwać przyjemnym. Raczej przerażało. Jakby rozpuszczał się po trosze w tej wodzie, której istnienie też doń wcale nie dochodziło. I serce nawet przestał słyszeć. Wytężał słuch jak mógł - nic. Cisza za to, wypełniająca go dokładnie, stała się nieprzyjemnym, głuchym pomrukiem, białym, ciągłym szumem, że chciało się wprost zatkać

uszy. W pewnym momencie pomyślał, że minął już chyba porządny kawał czasu i parę karnych punktów tak bardzo nie zaszkodzi. Chciał ruszyć rękami.

Nie miał czym poruszyć: nie było rąk. Nawet nie to, że się przeląkł; osłupiał raczej. Prawda, że coś tam pisano o “zatraceniu poczucia ciała”, ale któż by uwierzył, że może być tak zupełnie?

Widocznie tak ma być - uspokoił siebie. Grunt się nie ruszać - jak się chce mieć dobrą lokatę, trzeba wytrzymać to i owo. Ta maksyma podtrzymywała go przez jakiś czas. Jak długo? Nie wiedział.

Potem zaczęło się robić gorzej.

Zrazu ciemność, w której spoczywał czy też raczej, którą sam był, zaroila się od słabych migotań, polatujących na obrzeżu pola widzenia kręgów, właściwie bezświatlnych, mżących niewyraźnie. Poruszył gałkami ocznymi, ten ruch czuł, i to go pocieszyło. Ale dziwna rzecz: po kilku poruszeniach i oczy wymknęły się jego władzy...

Fenomeny wzrokowe i słuchowe, te migotania, mżenia, szумы i pomruki, były niewinnym wstępem, igraszką wobec tego, co zaczęło się z nim dziać zaraz potem.

Rozpadał się. Już nie to, żeby ciałem: o ciele nie było mowy, ciało od wieków przestało istnieć, było czasem zaprzyszłym, czymś utraconym w sposób nieodwołalny. Może nigdy go nie miał?

Zdarza się czasem, że przyciśnięta, niedokrwiona, ręka na jakiś czas obumrze. Można dotykać jej drugą, czującą i żywą, jak kawałek drewna. Prawie każdy zna to dziwne uczucie, nieprzyjemne, na szczęście szybko przemijające. Ale człowiek wtedy jest cały normalny, czujący i żywy, tylko kilka palców czy dłoń ogarnął martwy bezwład, że stały się jakby ucepionym do reszty ciała przedmiotem. Pirxowi jednak nie pozostało nic: albo lepiej, prawie nic - prócz strachu. Rozpadał się - nie na żadne tam osoby, ale właśnie na strachy. Czego się bał? Pojęcia nie miał. Nie był ani trzeźwy, ani jawy nie przeżywał (jakaż może być jawa bez ciała!), ani snu. Bo nie śnił przecież: wiedział, gdzie jest, co z nim robią. To było coś trzeciego. I do upicia się też najzupełniej niepodobne.

Czytał i o tym. To się nazywało „dezorganizacja pracy kory mózgowej, spowodowana pozbawieniem mózgu impulsów dosłownych”.

Brzmiało to nie najgorzej. Doświadczenie jednak...

Był trochę tu, trochę tam i wszystko się rozłaziło. Kierunki: góra, dół, bok - nic z tego! Usiłował sobie przypomnieć, gdzie może być sufit. Ale jak mówić o suficie, kiedy nie ma ciała ani oczu?

Zaraz - rzekł sobie - zrobimy z tym porządek. Przestrzeń wymiary - trzy kierunki...

Te słowa nic nie znaczyły. Pomyślał o czasie, powtarzał “czas, czas” - jakby żuł kawałek

papieru. Zlepek bez jakiegokolwiek sensu. Już nie on powtarzał, mówił to jakiś nikt, jakiś obcy, ktoś, kto wlaźł w niego. Nie, on wlaźł w kogoś. I ten ktoś rozdymał się. Puchnął. Ztracał wszystkie granice. Wędrował niepojętymi wnętrzami, objawił się olbrzymim jak balon, niemożliwym, słoniowatym palcem, był cały palcem, nie swoim, nie prawdziwym, ale jakimś wymyślonym, wziętym nie wiadomo skąd. Ten palec usamodzielniał się. Stawał się czymś przytłaczającym, nieruchomym, zgiętym karcąco i zarazem idiotycznie, a jego myślenie unosiło się raz z jednej, raz z drugiej strony tej bryły niemożliwej, cieplej, wstrętnej, żadnej - znikł. Wirował. Kręcił się. Spadał jak kamień, chciał krzyknąć. Migoty bez twarzy, okrągławe, wytrzeszczone, rozplywające się - gdy usiłował stawić im czoło - lały na niego, pchały się, rozpieły go, był jak cienkopowłokowy zbiornik grożący pęknięciem. I wybuchnął.

Rozpadł się na niezależne od siebie ciemności, które szybowały jak polatujące bezwładnie strzępy zwęglonego papieru. A w tych wahaniach i polatywaniach było niepojęte napięcie, wysiłek taki chyba, jak w śmiertelnej chorobie, kiedy poprzez mgły i pustki, która była kiedyś sprawnym ciałem, a teraz jest tylko znieczuloną, stygnącą pustynią, coś pragnie jeszcze ostatni raz odezwać się, dotrzeć do jakiegoś drugiego człowieka, zobaczyć go, dotknąć.

Zaraz - powiedziało coś zadziwiająco trzeźwo, ale to było obce, to nie był on. Może jakiś dobry człowiek zlitował się i mówił do niego? Do kogo?... Gdzie? Ale słyszał przecież... Nie, to nie był prawdziwy głos. Zaraz. Już inni to przeszli. Z tego się nie umiera. Trzeba się trzymać. Te słowa obracały się w kółko. Aż utraciły sens. Znowu wszystko rozlało się jak szara namarszczona bibuła. Jak śniegowa góra w słońcu. Wymywany, uciekł gdzieś bez ruchu, nikł. Zaraz mnie nie będzie - pomyślał najzupełniej serio, bo to było jak śmierć, nie jak sen. Tylko to jedno wiedział jeszcze: że nie śni. Osaczyło go ze wszystkich stron. Nie, nie jego. Ich. Było ich kilku. Wielu? Nie mógł się doliczyć.

Co ja tu robię? - powiedziało w nim coś. - Gdzie ja jestem? W oceanie? Na Księżycu? Doświadczenie...

Nie wierzył, że to może być doświadczenie: jak to, trochę parafiny, jakaś słona woda, i człowiek przestaje istnieć? Postanowił z tym skończyć, za wszelką cenę. Zmagał się, sam nie wiedział z czym, jakby wyważał olbrzymi przywalający go kamień. Nie mógł nawet drgnąć. W ostatnim błysku przytomności zebrał resztkę sił i jęknął. Usłyszał ten jęk, stłumiony, oddalony, jak radiowy sygnał z innej planety. Na jakąś sekundę prawie ocknął się i skupił po to, żeby wpaść w następną, jeszcze czarniejszą, podmywającą wszystko agonię.

Nie czuł żadnego bólu. Ba, gdyby był ból ! Siedziałby w ciele, dawałby o nim znać, określałby jakieś granice, targałby nerwami. Ale to była agonia bezbolesna, narastający napływ nicości. Poczul, jak powietrze spazmatycznie chwytałe wchodzi weń - jakby nie w płuca, ale w ten

obszar drgających, pokurczonych myślowych strzępków. Jęknąć, jeszcze raz jęknąć, usłyszeć się...

Jak się komu chce jęczeć, nie trzeba myśleć o gwiazdach odezwał się ten jakiś nieznany, bliski, lecz obcy głos. Zastanowił się i nie jęknął. Zresztą nie było go już. Nie wiedział, kim był - wpływały weń zimne, lekkie strumienie a najgorsze było to (dlaczego żaden z bałwanów nawet o tym nie wspominał?), że wszystko szło przez niego na wylot. Zrobił się przezroczysty. Był dziurą, sitem, szeregiem krętych jaskiń czy przelotów.

Potem i to się rozpadło, został tylko strach i trwał nawet wtedy, gdy zniknęła wstrząsana jak dreszczem, mżącym migotaniem - ciemność.

Potem zrobiło się gorzej, o wiele gorzej. Jednakże tego już Pirx nie umiał opowiedzieć ani nawet wyrazić, dokładnie przypomnieć sobie: na takie doświadczenia nie wynaleziono jeszcze słów. Nic nie potrafił o tym wykrztusić. Tak, tak, "topielcy" byli właśnie bogatsi o jedno cholerne doświadczenie, którego nikt z profanów nawet się nie domyślał. Inna rzecz, że nie było czego zazdrościć.

Pirx przeszedł wiele rzeczy i stanów. Nie było go jakiś czas, potem znów był, powielony, potem coś wyjadało mu cały mózg, potem działo się wiele zawiłych, bezsłownych potworności - spajał je strach, który przeżył i ciało, i czas, i przestrzeń. Wszystko.

Tego to się najadł do syta.

Doktor Grotius powiedział:

- Jęknął pan pierwszy raz w sto trzydziestej ósmej minucie, a drugi - w dwóchsetnej dwudziestej siódmej. Wszystkiego trzy karne punkty - i żadnych drgawek ! Proszę założyć nogę na nogę. Zbadam odruchy... Jak panu się udało wysiedzieć tak długo później?

Pirx siedział na złożonym poczwórnym ręczniku, piekielnie szorstkim i przez to bardzo przyjemnym. Był całkiem jak Łazarz. Nie w tym sensie, żeby tak wyglądał: ale czuł się prawdziwie zmartwychwstały. Wytrzymał siedem godzin. Miał pierwszą lokatę. W ciągu ostatnich trzech godzin umierał parę tysięcy razy. Ale nie jęknął. Kiedy wyciągali go, ociekającego, wytarli, wysmarowali, dali mu zastrzyk, łyk koniaku i prowadzili do pokoju badań, gdzie czekał doktor Grotius, po drodze zajrzał do lustra. Już przedtem wciąż dotykał piersi, rąk, nóg. Żeby się upewnić. Był kompletnie ogłuszony, otumaniony, jakby wstał z łóżka po wielomiesięcznej malignie. Wiedział, że już po wszystkim. Mimo to zajrzał do lustra. Nie żeby się spodziewał siwizny, ale tak sobie.

Zobaczył swoją szeroką gębę i, odwróciwszy się szybko, pomaszerował dalej, zostawiając na posadzce mokre ślady stóp. Doktor Grotius długo usiłował wydobyć z niego jakieś opisy przeżytych stanów. Siedem godzin - to było nie byle co. Doktor Grotius patrzył na Pirxa inaczej niż przedtem: nie to, że z sympatią - raczej z lubością, jak entomolog, który odkrył nowy gatunek ćmy.



Albo niezwyklego zgoła robaczka. Może widział w nim temat pracy naukowej?!

Pirx okazał się, trzeba niestety powiedzieć, niezbyt wdzięcznym obiektem dociekań. Siedział i mrugał głupekowato oczami: wszystko było płaskie, dwuwymiarowe, kiedy sięgał po coś ręką, ta rzecz okazywała się dalej albo bliżej, niż sobie obliczył. To było objawem normalnym. Ale nie była nim jego odpowiedź na pytanie asystenta, kiedy usiłował wydobyć z niego jakieś dokładniejsze szczegóły.

- Pan leżał tam? - pytaniem odparował pytanie.

- Nie - zdziwił się doktor Grotius. - A co?

- To niech się pan położy - zaproponował mu Pirx. - Sam pan zobaczy, jak to jest.

Na drugi dzień czuł się już tak dobrze, że mógł nawet robić na temat "wariackiej kąpieli" dowcipy. Odtąd chodził stale do głównego gmachu, gdzie pod szkłem na desce ogłoszeń zawieszano listy z wykazem praktyk. Ale nie mógł znaleźć swego nazwiska. Potem była niedziela.

A w poniedziałek wezwał go SzeF.

Pirx od razu się zakłopotał. Wpierw zrobił rachunek sumienia. O to, że wpuścili do rakiety Ostensa mysz, nie mogło iść - to było dawno, poza tym mysz była malutka i w ogóle nie było o czym mówić. Potem była ta historia z budzikiem, który sam włączał prąd do siatki łóżka Maebiusa. Ale to też właściwie głupstwo. Nie takie rzeczy robi się mając dwadzieścia dwa lata, a poza tym SzeF był wyrozumiały. Do pewnych granic. Czyżby się dowiedział o duchu? Duch był własnym, oryginalnym pomysłem Pirxa. Koledzy pomogli mu naturalnie: w końcu - ma się przyjaciół! Ale Bornowi należała się nauczka.

Operacja "duch" poszła jak zegarek. Proch był w tutce. prochową drózkę przeciągnęło się trzy razy dokoła pokoju, a zakończyło ją pod stołem. Może istotnie za dużo tego prochu się tam wysypało" Wychodziła prochowa ścieżka na korytarz, przez szparę pod drzwiami, a Born był już "urobiony" : przez cały tydzień wieczorami o niczym innym nie rozmawiało się, tylko o duchach. Pirx, nie w ciemną bity, rozdzielił role: część chłopców opowiadała straszliwe historie, a druga - odgrywała niedowiarków, żeby się Boru zbyt łatwo w podstępnie nie zorientował. Boru udziału w tych roztrząsaniach metafizycznych nie brał, tylko się podśmiewał czasem z najzagorzalszych zwolenników "tamtego świata". Tak, ale trzeba go było widzieć, kiedy wyleciał u dwunastej w mocy ze swojej sypialni, rycząc jak goniony przez tygrysa bawół. Płomień wszedł szparą pod drzwiami, trzykrotnie obleciał pokój i buchnął pod stołem, że książki pospadały. Pirx przedobrzył jednak, bo się zaczęło trochę palić. Parę kubłów wody zlikwidowało ogień, ale została wypalona dziura, no i smród. Także w pewnym sensie nie udało się: Boru nie uwierzył niestety w duchy.

Pomyślał, że może chodzi o tego ducha. Pirx wstał rano wcześniej, włożył czystą koszulę, na wszelki wypadek zajrzał do książki lotów, do Teorii Nawigacji, i poszedł jak w dym. Gabinet

Szefa był wspaniały. Tak przynajmniej wydawało się Pirxowi. Ścian nie było widać zza map nieba, konstelacje, żółte jak krople miodu, świeciły na granatowym tle. Mały, ślepy globus księżycowy na biurku, pełno książek, dyplomów, i drugi ogromny globus pod oknem. Ten drugi był istnym cudem, za naciśnięciem odpowiedniego guzika zapalały się i ruszały w obieg dowolnie wybrane sputniki, podobno były tam nie tylko istniejące, ale nawet te stare, włącznie z pierwszymi, już historycznymi, z 1957 roku.

Pirx w tym dniu nie miał jednak oka dla globusa. Kiedy wszedł, Szef pisał. Powiedział, żeby siadł i poczekał. Potem zdjął okulary - nosił je dopiero od roku - i przyjrzał mu się, jakby go pierwszy raz w życiu zobaczył. To był taki jego sposób. Nawet święty, nie mający nic na sumieniu, mógł stracić pod tym wzrokiem rezon. Pirx nie był święty. Nie mógł usiedzieć w fotelu. To zapadał w głąb, przyjmując postawę nieprzyzwoicie swobodną, niczym milioner na pokładzie własnego jachtu, to znów zjeżdżał w kierunku dywanu i własnych pięt. Szef wytrzymał milczenie i rzeki:

- Jak tam chłopcze u ciebie”

“Tykał” go, nie było więc źle. Pirx wyjaśnił, że wszystko w porządku.

- Podobno kapałeś się?

Pirx przytaknął. A to co znowu? Podejrzliwość nie opuszczała go. Może za niegrzeczność wobec asystenta?

- Jest jedno wolne miejsce na praktykę w Mendelejewie. Wiesz, gdzie to jest?

- Stacja astrofizyczna na tamtej stronie... - odparł Pirx. Był trochę rozczarowany. Miał cichą nadzieję - tak cichą, że bojąc się spłoszyć jej urzeczywistnienie, samemu sobie nawet do niej się nie przyznał - otóż liczył na coś innego. Na lot. Tyle było rakiet, tyle planet, a on miał dostać zwykłe zadanie stacjonarne na “tamtej stronie”... Kiedyś był to jeszcze fason - nazywać odwrotną, niewidzialną z Ziemi półkulę księżycową - “tamtą stroną”. Ale teraz wszyscy tak mówili.

- Słusznie. Wiesz, jak wygląda? - spytał Szef. Miał szczególny wyraz twarzy. Jakby ukrywał coś w zanadrzu. Pirx wahał się przez sekundę, czy skłamać.

- Nie - powiedział.

- Jeżeli przyjmiesz zadanie, dam ci całą dokumentację. Szef położył rękę na stosie papierów.

- To mogę nie przyjąć? ! - z nie ukrywanym ożywieniem spytał Pirx.

- Możesz. Bo zadanie jest, to znaczy: może się okazać... niebezpieczne.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale nie mógł. Specjalnie urwał, żeby się lepiej przyjrzeć Pirxowi, który wlepił się w niego rosnącymi oczami, powoli, solennie nabrał tchu - i tak już został, jakby zapomniał o potrzebie dalszego oddychania. Objęty łuną jak dziewczica, której objawił się królewicz, czekał dalszych upajających słów. Szef chrząknął.

- No, no - rzekł trzeźwiąco. - Przesadziłem. W każdym razie, mylisz się.

- Jak, proszę? - wybełkotał Pirx.

- Powiadam, że ty nie jesteś tym jedynym człowiekiem na Ziemi, od którego wszystko zależy... Ludzkość nie oczekuje od ciebie ratunku. Na razie jeszcze.

Pirx, czerwony jak burak, męczył się nie wiedząc, co robić z rękami. Szef, który znany był ze swych sposobów i który przed chwilą ukazał mu rajską wizję Pirxa - bohatera powracającego po dokonaniu Czynu przed zastygły na kosmodromie tłum szepczący z uwielbieniem: "To on! to on!!!" - teraz jakby całkiem nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, jął pomniejszać Zadanie, redukować rozmiary

Misji do zwykłej praktyki wakacyjnej, nareszcie wyjaśnił: - Pracownicy Stacji rekrutują się z astronomów, których przewozi się na tamtą stronę, żeby przesiedzieli swój miesiąc, i tyle. Normalna praca tam nie wymaga żadnych nadzwyczajności. Dlatego kandydaci poddawani byli zwykłym testom pierwszej i drugiej grupy. Teraz, po tym wypadku - potrzeba ludzi sprawdzonych dokładniej. Najlepszymi byłiby rozumie się piloci, ale sam pojmujesz, że nie można wsadzać pilotów do zwykłej stacji obserwacyjnej...

Pirx wiedział. Nie tylko Księżyc, cały system słoneczny wołał o pilotów, astrologów, nawigatorów - było ich wciąż za mało. Ale co to był za wypadek, o którym wspomniał Szef? Rozsądnie milczał.

- Stacja jest bardzo mała. Zbudowano ją głupio, pod północnym szczytem, zamiast na dnie krateru. Z lokalizacją była cała historia, zamiast rozpoznania selenodezyjnego zdecydował prestiż - będziesz się z tym mógł zapoznać później. Dostyc, że w ubiegłym roku część grani runęła i zniszczyła jedyną drogę. Dostęp jest teraz raczej trudny i możliwy tylko za dnia. Projektowano kolejkę linową, ale prace zostały wstrzymane, bo już jest decyzja przeniesienia Stacji na dół, w przyszłym roku. Praktycznie Stacja jest podczas nocy odcięta od świata. Łączność radiowa ustaje... Dlaczego?

- Proo... szę?

- Dlaczego pytam, ustaje łączność radiowa?

To był cały Szef. Obdarzanie misją, niewinna rozmowa nagle przemieniła się w egzamin. Pirx zaczął się pocić.

- Ponieważ Księżyc nie ma atmosfery ani strefy zjonizowanej, łączność radiową utrzymuje się na nim falami ultrakrótkimi... w tym celu wybudowano łańcuchy przekaźników, podobnych do telewizyjnych.

Szef, oparty łokciami o biurko, bawił się długopisem, dając poznać, że okazuje cierpliwość i będzie słuchał aż do skutku. Pirx zaś rozwódził się nad rzeczami, znanymi każdemu dziecku,

ponieważ zbliżał się, niestety, do obszarów, w których jego wiedza pozostawiała to i owo do życzenia. - Takie linie przesyłowe znajdują się zarówno na tej, jak i na tamtej stronie - rozpedzał się, bo wpływał na znajome wody: - Na tej stronie jest ich osiem. Łączą one Lunę Główną ze stacjami Sinus Medii, Pelagus Somnii, Mare Imbrium.

- To możesz opuścić - przerwał mu wielkodusznie Szeff.

- Jak również hipotezy o powstaniu Księżyca. Słucham...

Pirx zamrugął.

- Zakłócenia odbioru powstają, gdy łańcuch przekaźników dostaje się w strefę terminatora.

Kiedy część przekaźników jest jeszcze w cieniu, a nad dalszymi wschodzi Słońce.

- Wiem co to jest terminator. Nie musisz objaśniać - rzekł serdecznie Szeff.

Pirx zakaszłał. Wysiąkał nos. Nie mogło to jednak trwać w nieskończoność.

- Ze względu na brak atmosfery korpuskularne promieniowanie Słońca bombarduje skorupę, wywołuje - ee - zakłócenia fal radiowych. Te zakłócenia właśnie uniemożliwiają...

Ugrzązł.

- Zakłócenia zakłócają, całkiem słusznie - poddał Szeff. - Ale na czym polegają?

- To jest wtórne promieniowanie wzbudzone, efekt. No... No...

- No?... - życzliwie poddał Szeff.

- Nowińskiego! - wybuchnął Pirx. Przypomniawszy sobie. Ale i tego było Szeffowi mało.

Na czym polega ten efekt?

Tego właśnie Pirx nie wiedział. To znaczy, kiedyś wiedział, ale zapomniał. Doniósł wykute wiadomości do progu sali egzaminacyjnej, jak zongler - piramidę spiętrzonych na głowie, najnieprawdopodobniejszych przedmiotów, ale teraz było już po egzaminie... Jego rozpaczliwe majaczenie o elektronach, promieniowaniu wymuszonym i rezonansie przerwało pełne ubolewania potrząsanie głowy Szefa.

- No, tak - rzekł ten bezwzględny człowiek. - A profesor Merinus postawił ci czwórke... Czyżby się pomylił?

Fotel pod Pirxem zaczął przypominać coś w rodzaju wulkanicznego stożka.

- Nie chciałbym sprawić mu przykrości, więc niech lepiej nic nie wie... (Pirx odetchnął)... ale poproszę profesora Laaba, żeby przy egzaminie dyplomowym...

Urwał znacząco. Pirx zamarła. Nie przez te słowa - ale ręka Szefa powoli zagarniała papiery, które miał otrzymać wraz ze swoją Misją.

Dlaczego nie stosuje się łączności kablowej: - zagadnął Szeff nie patrząc na niego.

Ze względu na koszty. Kabel koncentryczny łączy na razie tylko Lunę Główną z Archimedesem. Ale w najbliższych pięciu latach planuje się skablowanie sieci przekaźnikowej

wypalił Pirx.

Szef nie rozpogodzony wrócił do tematu.

No, tak. Praktycznie Mendelejew jest odcięty od świata przez dwieście godzin podczas każdej nocy. Dotąd praca szła tam normalnie. W ubiegłym miesiącu po zwykłej przerwie w łączności stacja nie zgłosiła się na wezwanie z Ciołkowskiego. Ekipa Ciołkowskiego wyruszyła o świcie, zastała główną klapę otwartą, a w - komorze - człowieka. Był to dyżur Kanadyjczyków. Challiersa i Savage'a. W komorze leżał Savage. Miał pękniętą szybę hełmu. Uduślił się.

Challiersa znaleziono dopiero po dobie na dnie przepaści pod Bramą Słoneczną. Zginął wskutek upadku. Poza tym na Stacji panował porządek, aparatura pracowała, zapasy były nietknięte, nie wykryto żadnej awarii. Czytałeś o tym?

- Tak - powiedział Pirx. - Ale w gazetach było, że zaszedł nieszczęśliwy wypadek. Psychoza... podwójne samobójstwo w przystępie obłędu...

- Bzdura - rzekł Szef. - Znałem Savage'a. Z Alp. Nie mógł się zmienić. No, nic. W gazetach były brednie. Przeczytasz sobie raport komisji mieszanej. Słuchaj. Chłopcy tacy jak ty są już zasadniczo przebadani z taką samą dokładnością jak piloci, ale dyplomów nie mają, więc nie mogą latać. Poza tym praktykę wakacyjną tak czy inaczej musisz przejść. Jeżeli się zgodzisz, polecisz jutro.

- A kto jest drugi?

- Nie wiem. Jakiś astrofizyk. W końcu - potrzeba tam astrofizyków. Obawiam się, że nie będzie miał z ciebie pociechy, ale może poduczysz się trochę astrografii. Czy orientujesz się, o co chodzi? Komisja doszła do przekonania, że był to nieszczęśliwy wypadek, pozostał jednak pewien cień, nazwijmy to niejasnością. Stało się tam coś niezrozumiałego. Nie wiadomo co. Pomyśleli więc, że podczas następnego dyżuru dobrze byłoby tam mieć człowieka, jednego przynajmniej, o psychicznych kwalifikacjach pilota. Nie widziałem powodu do odmowy. Z drugiej strony, na pewno nic tam nie zajdzie szczególnego. Oczywiście - oczy i uszy musisz mieć otwarte, ale nie masz żadnej misji detektywistycznej, nikt nie liczy na to, że wykryjesz dodatkowe okoliczności wyjaśniające tamten wypadek, i nie jest to twoim zadaniem. Czy jest ci niedobrze?"

- Jak, proszę? Nie - odparł Pirx.

- Myślałem... Czy przypuszczasz, że będziesz się umiał zachować rozsądnie?" Bo to ci już uderzyło, niestety, do głowy. Zastanawiam się...

Będę się zachowywał rozsądnie - rzekł Pirx najbardziej stanowczym ze swoich tonów.

- Wątpię - rzekł Szef. - Posyłam cię bez entuzjazmu. Gdyby nie ta pierwsza lokata...

- To przez kąpiel? - nagle teraz dopiero zrozumiał Pirx. Szef udał, że nie słyszy. Podał mu najpierw papiery, a potem rękę.

- Start masz jutro o ósmej rano. Rzeczy weź jak najmniej. Zresztą byłeś tam już, więc wiesz. Tu jest bilet na samolot, a tu rezerwacja Transgalaktyku. Polecisz do Luny Głównej, stamtąd przerzucą cię dalej... - Mówił coś jeszcze. Życzył mu czegoś? Żegnał go? Pirx nie wiedział. Nie słyszał nic. Nie mógł słyszeć, bo był bardzo daleko, już na "tamtej stronie". W uszach miał grzmoty startowe, w oczach - białe, martwe płomienie księżycowych skał, a w całej twarzy - niemal to samo osłupienie, które o tak zagadkowy koniec przyprawiło dwu Kanadyjczyków. Robiąc zwrot w tył, wpadł na wielki globus. Schody wziął w czterech susach, jakby naprawdę był już na Księżycu gdzie ciężenie maleje sześciokrotnie. Przed gmachem o mało nie wpadł pod auto, które zahamowało z wrzaskiem opon, że aż ludzie zaczęli stawać, ale nawet tego nie zauważył. Na szczęście Szef nie widział tych początków jego rozsądnego zachowania, bo wrócił do swoich papierów. W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin zdarzyło się z Pirxem, dokoła Pirxa, Pirxowi, ze względu na Pirxa tyle, że chwilami tęsknił niemal za letnią, osoloną kąpielą, w której nie działo się absolutnie nic.

Jak wiadomo, człowiekowi szkodzi zarówno niedobór, jak i nadmiar wrażeń. Ale Pirx nie formułował tego rodzaju wniosków. Wszystkie bowiem starania Szefa, aby Zadanie pomniejszyć, zredukować, a nawet zlekceważyć, zdały się, co tu owijać w bawełnę, na nic. Pirx wchodził do samolotu z takim wyrazem twarzy, że przystojna stewardessa odruchowo cofnęła się o krok - co było zupełnym nieporozumieniem, bo w ogóle jej nie widział. Szedł jakby na czele żelaznej kohorty, zasiadł w fotelu jak Wilhelm Zdobywca, był po trosze nim. Kosmicznym Zbawcą Ludzkości. Dobrodziejem Księżyca. Odkrywcą Strasznych Tajemnic, Poskromicielem Zmór Tamtej Strony, a wszystkim - dopiero w przyszłości, "in spe", co nie pogarszało bynajmniej jego samopoczucia, wprost przeciwnie, wypełniało go życzliwością i pobłażliwością względem współpasażerów, którzy w ogóle pojęcia nie mieli, kto znajduje się wraz z nimi w brzuchu wielkiego odrzutowca ! Patrzył na nich jak Einstein u schyłku życia na igrające w piasku niemowlęta.

"Selene", nowy pocisk Transgalaktyku, startowała z kosmodromu nubijskiego. Z serca Afryki. Pirx był kontent. Nie sądził wprawdzie, że gdzieś w tym miejscu będzie w przyszłości wmurowana tablica z odpowiednim napisem nie, tak daleko w marzeniach się nie posunął. Ale niewiele brakowało. Co prawda, w czarę spijanych rozkoszy jęła się z wolna wsączać gorycz. W samolocie mogli o nim nie wiedzieć. Ale na pokładzie rakiety? Okazało się, że będzie siedział na dole, w klasie turystycznej, wśród hałastry jakichś Francuzów, obwieszonych aparatami fotograficznymi, przekrzykujących się szalenie szybko w sposób całkowicie niezrozumiały. On - w tłumie hałaśliwych turystów?

Nikt się nim nie zajmował. Nikt nie odziewał go w skafander, nie pompował w niego

powietrza, nie pytał, jak się czuje; nie zawieszał mu na plecach butli - chwilowo pocieszał się tym, że to dla niepoznaki.

Wnętrze klasy turystycznej wyglądało prawie jak kabina odrzutowca, tyle że fotele były większe, głębsze, a tabliczka, na której zapalały się rozmaite informujące napisy, tkwiła tuż przed twarzą. Napisy te zakazywały przeważnie różnych rzeczy: wstawania, poruszania się, palenia papierosów, daremnie usiłował Pirx przybieraniem bardziej fachowej postawy, zakładaniem nogi na nogę, lekceważeniem pasów bezpieczeństwa odróżnić się od tłumu profanów astronautyki. Już nie urocza stewardessa, ale pomocnik pilota kazał mu się przypiąć, i to była jedyna chwila, w której ktoś z załogi zwrócił na niego uwagę. Nareszcie jeden z Francuzów, raczej przez pomyłkę, poczęstował go owocową pastylką. Pirx wziął ją, dokumentnie zakleił sobie lepka słodyczą zęby i osiadłszy z rezygnacją w nadymanej głębi fotela, oddał się rozmyślaniom. Z wolna utwierdził się raz jeszcze w przekonaniu o przeraźliwym niebezpieczeństwie swej Misji, której nadszyciągającą grozę smakował bez pośpiechu, i tak zabierał się do jej próbowania jak nałogowy pijak, któremu dostała się w rękę mchem porośla butelka trunku z czasów wojen napoleońskich.

Miejsce miał przy oknie. Postanowił, rozumie się, w ogóle je zignorować - tyle razy już to widział!

Nie wytrzymał jednak. Kiedy "Selene" weszła na orbitę okołozemską, z której miała dopiero ruszyć ku Księżycowi, przykleił się do szyby. Bo też fascynujący był ów moment, w którym podkreślona liniami dróg, kanałów, popstrzona osadami i miastami powierzchnia Ziemi oczyszczała się jak gdyby od wszelkich śladów ludzkiej obecności, a kiedy znikły ostatnie, pod statkiem leżała plamista, oblepiona kłaczkami chmur wypukłość planety, i wzrok, przechodząc z czerni oceanów na kontynenty, daremnie usiłował odnaleźć cokolwiek stworzonego przez człowieka. Z odległości kilkuset kilometrów Ziemia wyglądała pusto, przeraźliwie pusto, jakby życie dopiero się na niej rodziło, słabym nalotem zieleni znacząc jej cieplejsze obszary.

W samej rzeczy widział to już wiele razy. Ale przemiana zaskakiwała go zawsze na nowo - było w niej coś, z czym nie mógł się pogodzić. Czy może pierwsze unaocznienie mikroskopijności człowieka wobec próżni? Wejście w obręb innej skali wielkości - planetarnych? Obraz znikomości ludzkich tysiącletnich wysiłków? Czy na odwrót, triumf tejże znikomości, która pokonała martwą, obojętną na wszystko potęgę grawitacji tej bryły przeraźliwej i, pozostawiając za sobą dzikość masywów górskich i tarcze biegunowych lodów, wstąpiła na brzegi innych ciał niebieskich? Rozważania te - czy raczej pozbawiono słów uczucia - ustąpiły miejsca innym, bo statek zmienił kurs, aby przez "dziurę" stref promieniowania, rozwierającą się nad biegunem północnym, wystrzelić ku gwiazdom.

Ale gwiazd nie dało się długo oglądać, bo zapłonęły światła. Podano obiad, podczas którego

silniki pracowały, aby wytworzyć namiastkę ciężenia, po czym pasażerowie ułożyli się z powrotem na fotelach, światła zgasły i można było teraz widzieć Księżyc.

Zbliżali się ku niemu od strony południowej. Ledwo paręset kilometrów pod biegunem ział odbitym światłem słonecznym Tycho, biała plama ze strzelającymi na wszystkie strony pasami promienistymi, których zdumiewającą regularność zadziwiała pokolenia ziemskich astronomów, aby na koniec, po rozwiązaniu ich zagadki, stać się przedmiotem studenckich kawałów. Bo czy nie wmawiano pierwszokursistom, że biały krążek Tychona to jest właśnie “dziurka osi księżycowej”, a jego promieniste pasma - to po prostu wyrysowane grubo południki”

Im bliżej podchodzili ku uwieszonej w czarnej pustce kuli, tym jawniejsza stawała się prawda, że jest to zastygły, utrwalony w stężałych masywach lawy obraz świata sprzed miliardów lat, kiedy gorąca Ziemia wędrowała ze swoim satelitą przez olbrzymie chmury meteorowe, szczątki planetogenezy, kiedy żelazny i kamienny grad walił bezustannie w cienką skorupę Księżyca, wyrzucał na powierzchnię fale magmy, a kiedy przestrzeń po nieskończone długim czasie oczyściła się i opustoszała, bezpowietrzny glob zmarł w pobojuwisko tej epoki katastrof górotwórczych. Aż jego masakrowana bombardowaniami, kamienna maska stała się natchnieniem poetów i lamp; liryczną zakochanych.

“Seline”, niosąca na swych obu pokładach czterysta ton ludzi i ładunku, odwróciła się rufą do rosnącej tarczy i rozpoczęła hamowanie, powolne i miarowe, aż delikatnie wibrując, osiadła na jednym z wielkich, zakłęsłych lejów kosmodromu.

Pirx był tu już trzy razy, z tego dwa - sam, to znaczy “siadał własnoręcznie” pośrodku ćwiczebnego pola, oddalonego od lądowiska pasażerskiego o pół kilometra. Teraz nie zobaczył go nawet, bo ogromny, ceramicznymi płytami obsyty korpus “Solone” przesunięty został na podstawę windy hydraulicznej i zjechał pod powierzchnię, do hermetyzowanego hangaru, gdzie odbyła się kontrola celna: narkotyki?, alkohol?, materiały wybuchowe, trujące, żrące? Pirx miał niewielką ilość trującego materiału, mianowicie płaską flaszeczkę z koniakiem, którą ofiarował mu Matters. Ukrył ją w tylnej kieszeni spodni. Potem była kontrola sanitarna - świadectwa szczepienia, sterylizacji bagażu, żeby nie zawlec na Księżyc jakichś zarazków - tę przeszedł od razu.

Za barierkami zatrzymał się, niepewny, czy go ktoś nie oczekuje. Stał na półpiętrze. Hangar był po prostu olbrzymią, wykutą w skale i wybetonowaną komorą o półkolistym stropie i płaskim dnie. Światła było w bród, sztucznego słonecznego, z jarzeniowych płyt, mnóstwo ludzi biegło w jedną i drugą stronę, na akumulatorowych wózkach jechały bagaże, butle sprężonych gazów, zasobniki, skrzynie, rury, szpule kablowe - a w głębi ciemniał nieruchomy powód całej tej gorączkowej krzątania, kadłub “Solone”, a właściwie jego środkowa część, podobna do olbrzymiego zbiornika gazowni, bo rufa spoczywała głęboko pod betonem, w obszernej studni, a



wierzchołek opasłego cielska przechodził przez okrągły otwór na górną, wyższą kondygnację.

Pirx stał tak, aż przypomniał sobie, że ma własne sprawy do załatwienia. W kapitanacie przyjął go jakiś urzędnik. Dał mu bloczek noclegowy i powiedział, że rakieta na tamtą stronę leci za jedenaście godzin. Spieszył się gdzieś i właściwie nic więcej mu nie powiedział. Pirx wyszedł na korytarz z wrażeniem, że panuje tu bałagan. Nie wiedział nawet dobrze, którędy będzie lecieć, przez Morze Smytha czy wprost do Ciołkowskiego? I gdzie jest właściwie ten jego nieznaną towarzysz księżycowy? A jakaś komisja? Program pracy ?

Myślał tak, aż irytacja przeszła w uczucie bardziej materialne, skupione w żołądku. Poczł głód. Wybrał więc odpowiednią windę, przestudiowawszy wprzód wszystko, co było wypisane na jej sześćojęzycznych tabliczkach, zjechał do kantyny pilotów i tam dowiedział się, że ma jeść w zwykłej restauracji, bo nie jest żadnym pilotem.

To było ukoronowaniem wszystkiego, Chciał już jechać do tej przeklętej restauracji, gdy sobie przypomniał, że nie odebrał swego plecaka. Więc na górę, do hangaru. Bagaż był już w hotelu. Machnął ręką i udał się na obiad. Dostał się w dwie fale turystów : Francuzi, z którymi przyleciał, szli jeść, a jacyś Szwajcarzy, Holendrzy i Niemcy wrócili właśnie z wycieczki selenobusem do stóp Krateru Erathostenesa. Francuzi podskakiwali, jak to zwykle robią ludzie wypróbowujący pierwszy raz czary księżycowej grawitacji, latali pod sufit w śmiechach i piskach kobiet i rozkoszowali się powolnym opadaniem z trzymetrowej wysokości; Niemcy, bardziej rzeczowi, wlewali się do wielkich sal, obwieszali oparcia krzeseł aparatami fotograficznymi, lornetami, statywami, omal że nie teleskopami, i już przy zupie pokazywali sobie okruchy skał księżycowych, które sprzedawały im na pamiątkę załogi selenobusów; Pirx siedział nad talerzem, tonąc we wrzawie niemiecko - francusko - grecko - holendersko - Bóg wie jakiej jeszcze i w powszechnym zachwyceniu, entuzjazmie był jedynym bodaj ponurym konsumentem drugiego już w tym dniu obiadu. Jakiś Holender usiłował się nim zająć, wyraził mianowicie przypuszczenie, że Pirx cierpi na chorobę przestrzeni po locie rakieta (pan pierwszy raz na Księżycu, co?) i ofiarował mu pigułki. To było kroplą, która przepelniła czarę. Pirx nie dojadł drugiego dania, kupił w bufecie cztery paczki keksów i pojechał do hotelu. Cała jego złość skupiła się na portierze, który zaoferował mu kawałek Księżyca, a mówiąc ściślej, okruch zeszlonego bazaltu.

- Odczep się, handlarzu! Byłem tu wcześniej od ciebie! - wrzasnął i trzęsąc się z wściekłości, odszedł, pozostawiając za sobą zdumionego tym wybuchem portiera.

W dwuosobowym pokoju siedział, pod zapaloną sufitówką, nieduży człowiek w wypłowiałej wiatrówce, trochę ryży, trochę siwy, z opadającym na czoło kosmykiem włosów, z twarzą spaloną słońcem: na jego widok zdjął okulary. Nazywał się Langner, doktor Langner, był astrofizykiem i miał lecieć z nim do Mendelejewa. To był ten nieznaną towarzysz księżycowy.

Pirx, już przygotowany na najgorsze, wymienił swoje nazwisko, mruknął coś pod nosem i usiadł. Langner miał ze czterdzieści lat, w oczach Pirxa był dobrze zakonserwowanym staruszkciem. Nie palił, prawdopodobnie nie pił i jak gdyby nie mówił. Czytał trzy książki na raz, jedna była tablicą logarytmiczną, druga - zadrukowana samymi formułami, w trzeciej były znów tylko fotografie widm spektralnych. W kieszeni miał malutki arytmograf, którym posługiwał się przy obliczeniach z wielką zręcznością. Od czasu do czasu, nie podnosząc oczu znad swoich formuł, zadawał Pirxowi jakieś pytanie, Pirx odpowiadał ustami pełnymi keksów. Pokój był klitką z dwoma piętrowymi łózkami, tuszem, do którego nie wlaźby grubas, i tabliczkami, upraszającymi wielojęzycznie o oszczędzanie wody i elektryczności. Dobrze, że nie zakazywali głębokiego wzdychania. W końcu przecież tlen także się dowoziło. Pirx popił keksy wodą z kranu, przekonał się, że jest zimna, aż cierpną zęby, widocznie zbiorniki mieściły się blisko wierzchniej skorupy bazaltowej. Było dość dziwnie. Według jego zegarka dochodziła jedenasta, według elektrycznego w pokoju była siódma wieczór, według zegarka Langnera było dziesięć minut po północy. Przeszawili zegarki na czas Luny, z tym że było to tylko prowizoryczne, bo Mendelejew miał inny, własny czas. Cała tamta strona go miała.

Do startu rakiety zostało dziewięć godzin. Langner, nic nie mówiąc, wyszedł. Pirx usiadł w fotelu, potem przeniósł się pod sufitówkę, usiłował czytać jakieś stare, potargane pisma, które leżały na stoliku, nareszcie nie mogąc usiedzieć, też wyszedł. Korytarz przechodził za zakrętem w rodzaj małego hallu, stało tam kilka foteli naprzeciw wbudowanego w ścianę telewizora. Szedł program dla Luny Głównej z Australii jakieś zawody lekkoatletyczne. Nic go nie obchodziły, ale siadł i patrzył, aż zachciało mu się spać. Wstając, skoczył na pół metra w górę, bo zapomniał o małym ciężeniu. Jakoś zobojętniał na wszystko. Kiedy będzie mógł zdjąć cywilne ła chy? Kto mu da skafander? Gdzie są jakieś instrukcje?

I co to wszystko znaczy?

Może i poszedłby gdzieś pytać, nawet awanturować się, ale jego towarzysz, ten cały doktor Langner, uważał widać sytuację za najnormalniejszą w świecie, więc chyba należy trzymać język za zębami?

Program się skończył. Pirx wyłączył telewizor i wrócił do pokoju. Nie tak przedstawiał sobie ten pobyt na Księżycu! Wytuszczał się. Przez cienką ściankę sły chać było dochodzące z sąsiedniego pokoju rozmowy. Oczywiście, znajomi z restauracji : turyści, których Księżyc doprowadzał do rozkosznej euforii. Jego jakoś nie. Zmienił koszulę (coś trzeba w końcu robić), a kiedy położył się na łóżku, wrócił Langner. Z czterema innymi książkami.

Pirxa przeszedł dreszcz. Zaczynał się domyślać, że Langner jest fanatykiem nauki, czymś w rodzaju młodszego wydania profesora Merinusa. Langner rozłożył na stole nowe fotogramy i

oglądając je przez szkło powiększające z takim skupieniem, z jakim Pirx nie studiował nawet zdjęć pewnej ulubionej aktorki, spytał, wiele Pirx ma lat.

- Sto jedenaście - rzekł Pirx, a gdy tamten podniósł głowę, dodał: - W układzie dwójkowym.

Langner uśmiechnął się po raz pierwszy i stał się dość podobny do człowieka. Miał białe, mocne zęby.

- Rosjanie przyślą po nas rakiety - powiedział. - Polecimy do nich.

- Do Ciołkowskiego?

- Tak.

To była stacja już na tamtej stronie. A więc jeszcze jedna przesiadka. Pirx zastanawiał się, jak też pokonają pozostałych tysiąc kilometrów. Chyba nie pojazdem terenowym, ale rakieta. O nic już nie pytał. Nie chciał zdradzić się z tym, że nic nie wie. Zdaje się, że Langner coś do niego mówił, ale Pirx zasnął. W ubraniu. Zbudził się nagle: Langner, pochylony nad łóżkiem, dotknął jego ramienia.

- Już czas - powiedział tylko.

Pirx usiadł. Wyglądało na to, że tamten przez cały czas czytał i pisał; stos papierów z obliczeniami urósł. W pierwszej chwili Pirx myślał, że Langner mówi o kolacji, ale chodziło o rakiety. Pirx władował na siebie wypchany plecak. Langner miał jeszcze większy, wyładowany jakby kamieniami, potem się okazało, że oprócz koszul, mydła i szczoteczki do zębów są w nim same książki.

Już bez żadnego cła czy kontroli przeszli na górny poziom, gdzie czekała na nich rakietka łączności księżycowej - niegdyś srebrna, teraz raczej szara, pękata, na trzech ugiętych kolanowato, rozstawionych nogach dwudziestometrowej wysokości. Nie aerodynamiczna, bo na Księżycu nie ma atmosfery. Pirx taką jeszcze nie latał. Miał się do nich dołączyć jakiś astrochemik, ale się spóźnił. Wystartowali więc punktualnie, sami.

Brak atmosfery był wielce kłopotliwy: nie można było używać żadnych samolotów, helikopterów - niczego prócz rakiet. Nawet tak wygodnych w ciężkim terenie ślizgowców na powietrznej poduszce, bo musiałyby dźwigać cały zapas powietrza, a to było niemożliwe. Rakietka jest szybka, ale nie wszędzie wylądować; rakiety nie lubią gór ani skał. Ten ich pękaty trójnogi owad zahaczał narastającym ciągiem, zagrzmiał i poszedł świecą w górę. Kabina była ze dwa razy większa od hotelowego pokoiku. W ścianach iluminatory. w stropie - okrągłe okno, kabina pilota była nie na wierzchu, ale w łanie pod spodem, prawie że między wylotowymi dyszami, żeby dobrze widział, na czym ląduje.

Pirx czuł się jak pakunek: posyłają gdzieś, nie wiadomo dobrze, dokąd ani po co, nie

wiadomo, co będzie dalej... Znana piosenka.

Weszli na parabolę. Kabina pochyliła się skośnie, ciągnąc za sobą długie “nogi”, Księżyc sunął pod nimi olbrzymi, wypukły, wyglądał, jakby nigdy nie stąpiła nań ludzka noga. Jest taka strefa w przestrzeni między Ziemią i Księżycem, w której pozorna wielkość obu ciał jest jednakowa. Pirx dobrze pamiętał wrażenie wyniesione z pierwszego swego lotu: Ziemia błękitnawa, przymglona, z rozmytymi konturami lądów była jakby mniej realna od Księżyca, który wisiał kamienny, z ostro występującą rzeźbą skalną, a jego nieruchomy ciężar był prawie dotykalny. Lecieli nad Morzem Chmur. Krater Bullialdusa został już w tyle, na południowym wschodzie leżał Tycho w aureoli swych lśniących promieni, które przechodziły przez biegun, aż na tamtą stronę: jak zwykle ze znacznej wysokości dominowało wrażenie, trudne do ujęcia, nadrzędnej regularności, która ukształtowała tę czaszę skalną. Wypełniony słonecznym światłem Tycho był jakby środkiem konstrukcji, białawymi swymi ramionami obejmował i przerzynał Mare Humorum i Mare Nubium, a jego wybieg północny, największy, znikł gdzieś aż za horyzontem, w stronie Mare Serenitatis, gdy jednak, pozostawiwszy na wschodzie Cyrk Claviusa, zaczęli się zniżać nad biegunem i już po tamtej stronie lecieli nad Morzem Marzenia, w miarę obniżania się rakiety złudzenie ładu nikło, pozornie gładka, ciemna powierzchnia “morza” ukazywała swoje pęknięcia i szczeliny. Na północo - wschodzie zajaśniał piłą grani Verne. Wciąż tracili wysokość i teraz Księżyc z bliska wyjawiał, czym był naprawdę: płaskowyże, równiny, cyrki kraterów i gór pierścieniowych jednakowo były zryte lejami kosmicznego bombardowania, kręgi szczątków skalnych i lawy zachodziły na siebie, przenikały się, jakby tych, co prowadzili ów ostrzał tytaniczny, wciąż jeszcze nie zadowalało wywołane zniszczenie.

Nim Pirx zdążył dostrzec masyw Ciołkowskiego, rakieta, pchnięta krótkim włączeniem silników, ustawiła się pionowo, tak że ostatnią rzeczą, którą zobaczył, był ocean ciemności pochłaniającej tatrą półkulę zachodnią; już spoza linii terminatora sterczał, płonąc samym wierzchołkiem, szczyt Łobaczewskiego. Gwiazdy w górnym oknie stanęły nieruchomo. Zjeżdżali na dół, jak w windzie; a że nurkowali przez własny, skupiający się u rufy płomień silników, gazy wrzeszczały na wypukłościach zewnętrznego pancerza przypominało to nieco wchodzenie w atmosferę.

Fotele rozłożyły się same, przez górny iluminator Pirx widział wciąż te same gwiazdy, lecieli kulą w dół, ale czuł miękką, nieustępliwy opór, jaki temu upadkowi stawiały grzmiące w odwrotnym kierunku dysze. Nagle gruchnęły pełną mocą. Aha, stajemy na ogniu! - pomyślał Pirx, aby nie zapomnieć, że jest wszak prawdziwym astronautą, choć jeszcze bez dyplomu - uderzenie, coś zaklekotało, trzasnęło, jakby wielki młot walił w kamienie, kabina miękko zjechała w dół, wróciła do góry, w dół w górę, i tak chodziła dobrą chwilę na bulgocących wściekle

amortyzatorach, kiedy trzy dwudziestometrowe, kurczowo rozstawione “nogi” na dobre już wpiły się w skalne rumowisko.

Te wahania wygasił wreszcie pilot, dodając trochę ciśnienia do przewodów olejowych, zasyczało i kabina zawisła nieruchomo.

Pilot wylazł do nich przez klapę w środku podłogi, otworzył ścienną szafę, w której, na koniec, ukazały się skafandry. W Pirxa wstąpiło coś w rodzaju animuszu, nie na długo jednak. Były cztery skafandry, jeden pilota, poza tym mały, średni i duży. Pilot wlaź w swój skafander w minutę, tylko hełmu nie założył i czekał na nich. Langner też uporał się szybko. A Pirx, czerwony, spocony i wściekły, nie wiedział, co robić. Średni skafander był nań za mały, a duży - za wielki. W średnim opierał się solidnie głową o wierzch hełmu. W dużym latał jak kokosowe ziarenko w wyschłej skorupie. Owszem, udzielano mu życzliwych rad. Pilot zauważył, że duży skafander jest zawsze lepszy od ciasnego, i zaproponował mu, żeby wypchał puste miejsce bielizną z plecaka. Ewentualnie gotów był mu nawet pożyczyć koc. Dla Pirxa jednak sama myśl o takim napychaniu skafandra miała w sobie coś bluźnierczego, przed czym cała jego astronautyczna dusza stanęła dęba. Owijać się jakimiś szmatami?

Włożył mniejszy skafander. Pilot ani Langner nic już nie mówili, ten pierwszy otworzył klapę służby wyjściowej, weszli we trzech, pilot zakręcił śrubowym kołem i z kolei odemknął klapę zewnętrzną.

Gdyby nie Langner. Pirx od razu wyskoczyłby i być może udałoby mu się już w pierwszym stąpieniu skrócić nogę, ponieważ od powierzchni dzieliło ich dwadzieścia metrów a choć ciężenie małe, skok, biorąc pod uwagę ciężar skafandra, jak gdyby z wysokości piętra na stosy głazów, w najwyższym stopniu chwiejnych.

Pilot opuścił składaną drabinkę i zeszli po niej - na Księżyc. I tu nikt nie oczekiwał ich z kwiatami ani bramami triumfalnymi. Nie było żywej duszy. Pancerna kopuła stacji Ciołkowskiego wznosiła się, oświetlona skośnymi promieniami straszego księżycowego słońca, w odległości niespełna kilometra. Ponad nią widniało wykute w skale małe lądowisko, ale było zajęte: stały tam obok siebie w dwu rzędach rakiety, dużo większe od tej, którą przylecieli : transportowe.

Ich rakieta, osiadłszy trochę w jedną stronę, spoczywała w swym potrójnym rozkroku; głazy bezpośrednio pod lejami dysz pociemniały, osmalone odrzutowym ogniem. Teren był ku zachodowi prawie płaski, jeśli płaskim można było nazwać to nieskończone gruzowisko, z którego tu i ówdzie sterczały złomy wielkości kamienie. Ku wschodowi wyrzusał się zrazu łagodnie, aby przejść szeregiem pionowych prawie uskoków w główny masyw Ciołkowskiego; ta pozornie bliska ściana leżała w cieniu i czarna była jak węgiel. Jakies dziesięć stopni nad grzbietem Ciołkowskiego płonęło słońce - nie można było patrzeć w tę stronę, tak oślepiało. Pirx spuścił od razu przesłonę na

szybkę hełmu, ale niewiele to pomogło. Tyle, że nie musiał już mrużyć oczu. Stąpając ostrożnie po ruchomych głazach, ruszyli ku Stacji.

Rakietę stracili zaraz z oczu, bo trzeba było przejść płytką kotlinę. Stacja dominowała nad nią i nad całą okolicą, w trzech czwartych wpuszczona w lity mur skalny. Wyglądała jak pamiętająca mezozoik, rozwalona wybuchem, skalna forteca. Podobieństwo ostro ściętych naroży do baszt ochronnych było uderzające, ale tylko z daleka - im byli bliżej, tym wyraźniej "baszty" traciły foremność, rozchodziły się, a zbiegające po nich czarne pasy okazywały się głębokimi pęknięciami; jak na Księżycu teren był jednak stosunkowo równy i szło się po nim szybko. Każde stąpienie wzbijało chmurkę kurzu, tego osławionego kurzu księżycowego, który wznosił się wyżej pasa, otaczał ich mleczną, najbielszą chmurą i nie chciał opadać. Dlatego nie szli gęsiego, lecz obok siebie - i kiedy już pod samą Stacją Pirx odwrócił się, zobaczył całą przebytą drogę - znaczyły ją trzy obłe, nieregularne węże czy warkocze tego pyłu, jaśniejszego od wszystkich ziemskich.

Pirx wiedział o nim sporo pożytecznych rzeczy. Że pierwsi zdobywcy zdumieni byli tym zjawiskiem : pyłu oczekiwano, ale najdrobniejszy nawet powinien był natychmiast opadać w próżni bezpowietrznej. Księżycowy jakoś nie chciał. I co ciekawsze, tylko za dnia. Pod słońcem. Bo, jak się okazało, zjawiska elektryczne przebiegają na Księżycu inaczej niż na Ziemi. Na Ziemi są wyładowania atmosferyczne, błyskawice, pioruny, ogniki świętego Elma. Na Księżycu oczywiście nie ma ich. Ale bombardowane cząsteczkowym promieniowaniem skały ładują się takim samym ładunkiem, jak pokrywający je kurz. Więc, że jednakowe ładunki się odpychają, kurz, raz wzbity, utrzymuje się dzięki odpychaniu elektrostatycznemu czasem i godzinę. Kiedy na Słońcu jest więcej plam, Księżyc "kurzy się" bardziej. Podczas minimum - mniej. I zjawisko to znika dopiero w kilka godzin po zapadnięciu nocy - tej przeraźliwej nocy, której sprostać mogą tylko specjalne, dwuścienne, na podobieństwo termosów budowane, skafandry, ciężkie, nawet tutaj, jak wszyscy diabli.

Uczone te rozmyślenia przerwało przybycie do głównego wejścia Stacji. Przyjęto ich gościnnie. Naukowy kierownik Stacji, profesor Ganszyn, zaskoczył trochę Pirxa, który pewną przeciwwagę swej puciołowatości widział we wzroście. Ganszyn patrzył jednak na niego z góry - nie w przenośni. Dosłownie. A jego kolega, fizyk, doktor Pnin, był jeszcze wyższy. W pewnym sensie jego wysokość, w połączeniu z ogólnymi rozmiarami, kazała myśleć raczej o oddaleniu w pionie. Miał chyba dwa metry. Było tam jeszcze trzech innych Rosjan, a może i więcej, ale nie pokazywali się zapewne mieli służbę. Na wierzchu mieściło się obserwatorium astronomiczne, stacja radiowa, skośnie wybitym w skale i wycementowanym tunelem szło się do osobnej kopułki, nad którą wirowały wielkie kraty radarów, a przez iluminatory można było dostrzec ustawiony na samej grani Ciołkowskiego rodzaj oślepiająco srebrnej, regularnej pajęczyny - był to główny

radioteleskop, największy na Księżycu. Dostać się tam można było w pół godziny, kolejką linową.

Potem wyjaśniło się, że Stacja jest jeszcze o wiele większa, aniżeli na to wyglądała. W podziemiach były olbrzymie zbiorniki wody, powietrza, żywności ; w niewidocznym z kotliny wbudowanym w pęknięcie skał skrzydle znajdowały się przetwornice energii promienistej Słońca na elektryczną. I była tam też rzecz zupełnie wspaniała: olbrzymie solarium hydroponiczne, pod kopułą ze zbrojnego stałą kwarcu; oprócz sporej ilości kwiatów i wielkich zbiorników z jakimiś galonami dostarczającymi witamin i białka, rósł, w samym środku, bananowiec. Pirx i Langner zjedli po bananie, wyhodowanym na Księżycu. Śmiejąc się, doktor Pnin wykrył im, że banany nie należą do codziennej strawy załogi : są raczej dla gości.

Langner, który znał się trochę na księżycowym budownictwie, zaczął wypytywać o szczegóły konstrukcji kwarcowej kopuły, bo zadziwiła go bardziej od bananów; w samej rzeczy - budowla była oryginalna. Ponieważ na zewnątrz otwierała się próżnia, kopuła musiała wytrzymać stałe ciśnienie dziewięciu ton na metr kwadratowy, co przy jej rozmiarach sumowało się w imponującą liczbę dwóch tysięcy ośmiuset ton. Z taką siłą zawarte w solarium powietrze usiłowało wysadzić kwarcową banię we wszystkich kierunkach. Zmuszeni do rezygnacji z żelbetów, konstruktorzy wtopili w kwarc szereg zespawanych żeber, które całą moc parcia bez mała trzech milionów kilogramów przekazywały na irydową tarczę u szczytu: stamtąd rozchodziły się, już na zewnątrz, potężne stalowe liny, zakotwiczone głęboko w okolicznym bazalcie. Był to więc jedyny w swoim rodzaju ..kwarcowy balon na uwięzi”.

Z solarium poszli prosto do sali jadalnej na obiad. Bo na Ciołkowskim przypadała właśnie pora obiadowa. Był to już trzeci z kolei obiad Pirxa: po drugim na Lunie i pierwszym w rakiecie. Wyglądało na to, że na Księżycu je się tylko obiady.

Jadalnia, zarazem pomieszczenie wspólne, była niezbyt wielka; ściany pokrywało drewno - nie boazeria, ale sosnowe belki. Nawet żywicą pachniało. Taka nadzwyczajna “ziemskość” była, po oślepiających krajobrazach księżycowych, szczególnie miła. Ale profesor Ganszyn zdradził im, że to tylko cienka, wierzchnia warstwa powłoki ściennej jest drewniana - żeby się mniej za domem tęskniło. Ani podczas obiadu, ani później nie mówiło się o Mendelejewie, o wypadku, o nieszczęśliwych Kanadyjczykach, ani o odlocie, zupełnie jakby przyjechali w gościnę i mieli tu siedzieć nie wiadomo jak długo, Rosjanie zachowywali się, jakby oprócz Pirxa i Langnera w ogóle nic nie mieli na głowie - pytali, co słyhać na Ziemi, jak tam na Lunie Głównej ; w przypiływie szczerości Pirx wyznał swą żywiołową niechęć dla turystów i ich manier; wyglądało na to, że znalazł przychylnych słuchaczy.

Dopiero po jakimś czasie można było zauważyć, że to ten, to inny z gospodarzy wychodzi, żeby niebawem wrócić. Później wyjaśniło się, że chodzili do obserwatorium, bo na Słońcu

powstała bardzo piękna protuberancja. Kiedy to słowo padło, wszystko inne przestało dla Langnera istnieć. Właściwie naukowcom, im samym nieświadome, zapamiętanie ogarnęło cały stół. Przyniesiono fotografie, potem wyświetlano film nakręcony przez koronograf protuberancja była rzeczywiście wyjątkowa, miała trzy czwarte miliona kilometrów długości i wyglądała jak przedpotopowy stwór z płomienistą paszczką. Ale nie o to zoologiczne podobieństwo chodziło, Ganszyn. Pnim trzeci astronom i Langner po zapaleniu światła zaczęli rozmawiać z błyszczącymi oczami, głusi na wszystko - ktoś wspomniał o przerwany obiedzie - wrócili do jadalni, lecz i tu, odsunawszy talerze, wszyscy zabrali się do rachowania na papierowych serwetkach, aż doktor Pnin zlitował się nad siedzącym niby na kazaniu tureckim Pirxem i zaprosił go do swego pokoju, malutkiego, ale wyposażonego w godną podziwu rzecz : duże okno, z którego otwierał się widok na wschodni szczyt Ciołkowskiego. Słońce, niskie, ziejące jak piekielne wrota, rzucało w chaos skalnych spięrzeń drugi chaos, cieniów, pochłaniających czernią kształty, jakby się za każdą krawędzią oświetlonego głazu otwierała diabelska studnia, wiodąca do samego środka Księżyca. Jakby tam nicość rozpuszczała turnie, skośne wieże, igły, obeliski, które wyskakiwały dalej z atramentowych mroków niby jakiś ogień skamieniały, wstrzymany w locie, że oko traciło się wśród niemożliwych do scalenia form, znajdując wątpliwą ulgę tylko w okrągłych jamach czerni, niby oczodołach wylupionych to były, wypełnione po brzegi cieniem, oka małych kraterów, szczególnie dobitne w tym skośnym, ponad rzeczywistość uplastyczniającym pustynię świetle.

Był to widok jedyny w swoim rodzaju. Pirx bywał już na Księżycu (co powtórzył ze sześć razy podczas rozmowy), ale nigdy o tej porze, dziewięć godzin przed zachodem. Siedzieli z Pninem długo. Pnin mówił mu "kolego", a on nie wiedział, jak odpowiadać, lawirował więc w gramatyce jak się dało. Rosjanin miał fantastyczną kolekcję zdjęć, robionych w czasie wspinaczek - on, Ganszyn i trzeci ich towarzysz, znajdujący się chwilowo na Ziemi, zajmowali się w wolnych chwilach alpinistyką.

Byli tacy, co próbowali wprowadzić w obieg "lunistyka", ale się nie przyjął, tym bardziej że istnieją przecież Alpy księżycowe.

Pirx, który jeszcze przed wstąpieniem do Instytutu chodził na wspinaczki, odkrywając w Pninie bratnią duszę, zaczął go wypytywać o różnice między techniką ziemską a księżycową.

- Musicie pamiętać o jednym, kolego - powiedział Pnin tylko o jednym. Róbcie wszystko .jak w domu", dopóki się uda. Lodu tutaj nie ma, chyba w bardzo głębokich szczelinach, a i to niesłychanie rzadko, śniegów, rozumie się, też żadnych, więc niby jest bardzo łatwo, tym bardziej że można spaść z trzydziestu metrów i nic się człowiekowi nie stanie - ale o tym nawet myśleć nie wolno.

Pirx bardzo się zdziwił. Dlaczego?



- Bo tu nie ma powietrza - wyjaśnił astrofizyk. - I żebyście nie wiedzieć jak długo chodzili, nie nauczycie się oceniać prawidłowo odległości. Tu nawet dalmierz niewiele pomaga, a któż chodzi z dalmierzem? Wejdziecie na szczyt, zajrzycie w przepaść i wydaje się wam, że ma pięćdziesiąt metrów. Może ma pięćdziesiąt, może trzysta, a może pięćset. Zdarzało mi się... Zresztą, wiecie, jak to jest. Jak człowiek raz sobie powie, że może odpaść, to prędzej czy później poleci. Na Ziemi głowa się rozbije i zagoi, a tutaj jedno dobre stuknięcie w hełm, szybka pęknie, i po wszystkim. Tak że zachowujcie się jak w ziemskich górach. Na co byście sobie pozwolili tam, możecie sobie pozwolić tutaj. Z wyjątkiem skakania przez szczeliny. Choćby się wam zdawało, że jest ledwo dziesięć metrów, to jakby na Ziemi półtora, poszukajcie kamienia i przerzućcie na drugą stronę. Obserwujcie jego lot, prawdę mówiąc jednak radziłbym, tak od serca, w ogóle nie skakać. No, bo jak sobie człowiek parę razy skoczy na dwadzieścia metrów, to mu już i przepaści nie straszne, i góry po kolana a wtedy najłatwiej o wypadek. Pogotowia górskiego tu nie ma... więc sami rozumiecie.

Pirx spytał o Mendelejewa. Czemu stacja jest pod granią, a nie na dole? I czy droga trudna? Podobno wspinaczka? - Prawdziwej wspinaczki nie ma, tylko trochę ekspozycji, a to dlatego, że poszła lawina kamienna. Spod Bramy Słonecznej. Zniosła drogę... Co do lokalizacji, niezręcznie mi o tym mówić. Teraz zwłaszcza, po tym nieszczęściu. Ale musieliście przecież czytać o tym, kolego?...

Pirx, okropnie zmieszany, wystękał, że miał wtedy sesję egzaminacyjną... Pnin uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał. - No cóż. Księżyc jest umiędzynarodowiony, ale każde państwo ma swoją strefę badań naukowych - a my mamy tę półkulę. Kiedy się okazało, że pasy van Allena zakłócają bieg promieni kosmicznych na półkuli skierowanej ku Ziemi, Anglicy zwrócili się do nas, żebyśmy im dali wybudować stację na naszej stronie. Zgodziliśmy się. Właśnie braliśmy się już sami do roboty, w Mendelejewie, więc zaproponowaliśmy im, żeby przejęli go po nas, z tym że odstąpimy im wszystkie zwiezione przez nas materiały budowlane, a rozliczać się będziemy potem. Anglicy najpierw zaakceptowali, a potem odstąpili Mendelejewowi Kanadyjczykom, jako należącym do Wspólnoty Brytyjskiej. Nam to nie robiło naturalnie różnicy. Ponieważ przeprowadzaliśmy już wcześniej wstępne rozpoznanie terenu, jeden z naszych, profesor Animcew, wszedł w skład projektującej grupy kanadyjskiej, z głosem doradcy, dobrze zorientowanego w lokalnych warunkach. Naraz dowiadujemy się, że Anglicy jednak biorą w tej historii udział. Przysłali Shannera, który oświadczył, że na dnie krateru mogą powstawać wtórne pęki promieniowania i będą zakłócać uzyskiwane rezultaty. Wasi specjaliści uważali, że to niemożliwe, ale w końcu Anglicy zdecydowali : to miała być ich stacja. Postanowili przenieść ją pod grań. Koszty oczywiście wzrosły przerażająco. A całą nadwyżkę finansowali Kanadyjczycy. No, ale mniejsza o to. Nie

zaglądamy do cudzych kieszeni. Zlokalizowano stację, zabrano się do wytyczania drogi. Animcew daje nam znać: Brytyjczycy chcieli najpierw przekroczyć dwie przepaście na szlaku projektowanej drogi żelbetowymi mostami, ale Kanadyjczycy nie godzą się, bo kosztorys wzrasta przez to niemal dwukrotnie. Więc chcą wgryźć się w wewnętrzny stok Mendelejewa, przebić dwa skalne zebra kierunkowymi wybuchami. Odradzamy im - to może naruszyć równowagę krystalicznego trzonu bazaltowego. Ale nie słuchają. Co robić?

Cóż mogliśmy zrobić? Przecież to nie dzieci. Mamy więcej doświadczenia selenologicznego, ale skoro nie chcą słuchać rad, nie będziemy się im narzucali. Animcew złożył votum separatum i na tym się skończyło. Zaczęli odstrzeliwać skałę. Pierwszy nonsens - lokalizacji, pociągnął za sobą drugi, a skutki, niestety, nie dały na siebie długo czekać. Anglicy zbudowali trzy mury przeciwlawinowe, uruchomili Stację, posłali transportery na gąsienicówkach - proszę bardzo, udało się. Stacja pracowała już trzy miesiące, kiedy u podnóża przewieszki pod Bramą Słoneczną, tą wielką szczyrbą zachodnią grani - pokazały się szczeliny...

Pnin wstał, wyjął z szuflady kilka dużych fotografii i pokazał je Pirxowi.

- O, w tym miejscu. To jest, a właściwie była półtorakilometrowa płyta, miejscami przewieszona. Droga szła mniej więcej w jednej trzeciej wysokości, jak ta czerwona linia. Kanadyjczycy wszczęli alarm. Animcew (wciąż tam siedział i perswadował) tłumaczy im: różnica temperatur dnia i nocy wynosi trzysta stopni. Pęknięcia będą się powiększały, na to nie ma rady. Przecież nie podeprze się niczym półtorakilometrowej ściany! Drogę trzeba natychmiast zamknąć, a że Stacja już stoi, zbudować kolejkę linową. Oni zaś ściągają, jednego po drugim, ekspertów z Anglii, z Kanady - i odbywa się po prostu komedia eksperci, którzy mówią to samo, co nasz Animcew, natychmiast wracają do domu. Zostają tylko ci, którzy widzą jakąś radę na szczeliny. Zaczynają cementować. Głębokie zastrzyki, przypory, cementują i cementują bez końca, bo co zacementują za dnia, pęka po następnej nocy. Żlebem schodzą już małe lawinki, ale zatrzymują się na murach. Budują system klinów rozbijających większe lawiny. Animcew tłumaczy, że nie chodzi o lawiny: cała płyta może runąć! Nie mogłem wprost na niego patrzeć, kiedy do nas przyjeżdżał, ten człowiek ze skóry wychodził: widział nadchodzące nieszczęście i nic nie mógł na to poradzić. Lojalnie wam powiem: Anglicy mają doskonałych specjalistów, ale to nie był problem specjalistyczny, selenologiczny, to się zrobiła kwestia ich prestiżu: zbudowali drogę i nie mogą się wycofać. Animcew wreszcie złożył któryś tam protest i odszedł. Potem doszło nas, że między Anglikami a Kanadyjczykami wynikły spory, tarcia w związku z tą płytą; to jest krawędź tak zwanego Orlego Skrzydła. Kanadyjczycy chcieli ją wysadzić, całą: drogę zrujnuje, ale potem będzie można zbudować bezpieczną. Anglikom to nie odpowiadało - zresztą była to utopia; Animcew obliczył, że trzeba by sześciomegatonowego ładunku wodorowego, a konwencja ONZ

zabrania użycia materiałów radioaktywnych jako środków wybuchowych.

I tak się tam spierali i klócili, aż płyta runęła...

Anglicy pisali potem, że wszystko przez Kanadyjczyków; bo odrzucili pierwszy projekt, tych wiaduktów betonowych... Pnin patrzył chwilę na zdjęcie drugie, ukazujące powiększoną niemal dwukrotnie szczybę grani; czarnymi kropkami wyznaczone było miejsce obwału, który zabrał i zdruzgotał drogę wraz ze wszystkimi jej umocnieniami.

- W rezultacie Stacja jest okresowo niedostępna - bo przecież w dzień łatwo dojść, parę trawersów, tyle że duża ekspozycja, już wam mówiłem - za to w nocy praktycznie to niemożliwe. My tu nie mamy Ziemi, wiecie...

Pirx zrozumiał, o czym myśli Rosjanin : na tej stronie, podczas długich nocy księżycowych, nie świeciła wielka lampa Ziemi.

- A podczerwienią nic nie można zrobić” - spytał. Pnin uśmiechnął się.

- Okulary infraczerwone? Jakaż tam podczerwień, kolego, kiedy w godzinę po zachodzie skała ma minus sto sześćdziesiąt stopni na powierzchni... Owszem, teoretycznie można by iść z radaroskopem, ale czyście próbowali kiedyś wspinać się w ten sposób?

Pirx wyznał, że nigdy.

- I nie radzę wam. Jest to wyjątkowo skomplikowany sposób popełnienia samobójstwa. Radar dobry jest w terenie płaskim, ale nie w ścianie...

Wszedł Langner z profesorem: musieli już lecieć. Do Mendelejewa mieli pół godziny lotu, droga wymagała dalszych dwóch, a za siedem godzin zachodziło słońce. Siedem godzin rezerwy to jakby zbyt wiele. Lecz tu znów wyjaśniło się, że polecą z nimi doktor Pnin. Zaczęło się tłumaczenie, że to niepotrzebne, ale gospodarze nie chcieli nawet o tym słyszeć.

Kiedy już mieli iść. Ganszyn spytał, czy nie mają jakichś wieści do przekazania na Ziemię - to ostatnia okazja. Bo wprawdzie Mendelejew ma z Ciołkowskim łączność radiową, ale za siedem godzin wejdą na terminator i będą silne zakłócenia.

Pirx pomyślał, że byłoby niezłe przesłać siostrze Mattersa pozdrowienia z “tamtej strony”, ale się na to nie odważył. Podziękowali zatem i zeszli na dół, gdzie znów wyszło na to, że Rosjanie odprowadzą ich do rakiety. Tu Pirx załamał się i opowiedział, jaki przypał mu w udziale skafander. Więc dobrali mu inny, a tamten został w komorze ciśnieniowej Ciołkowskiego.

Ten rosyjski skafander był trochę inny od znanych Pirxowi miał trzy, nie dwie przesłony, na wysokie słońce, na niskie słońce i na kurz - ciemnopomarańczową. W innych miejscach zawory powietrzne i bardzo zabawne urządzenie w butach - można było nadymać podeszwy, że chodziło się jak na poduszkach. Nie czuło się w ogóle skały, a zewnętrzna warstwa zelówki przylegała doskonale do najgładszej powierzchni. Był to model “wysokogórski”. Poza tym skafander był w

połowie srebrny, a w połowie czarny. Kiedy się człowiek zwrócił czarną stroną ku słońcu, zaczynał potnieć, a kiedy srebrną - ogarniał go przyjemny chłód.

Pirxowi wydawało się to nie całkiem dobrym pomysłem, bo przecież nie zawsze wybiera się stront, z której świeci słońce. Trzeba iść wtedy tyłem czy jak?

Tamci zaczęli się śmiać. Pokazali mu pokręto na piersi, które powodowało przesunięcie srebra i czerni miejscami.

Można było mieć przód korpusu czarny, a plecy srebrne, albo na odwrót. Sposób, w jaki się te bary przemieszczały, był ciekawy. Między zewnętrzną przezroczystą, z twardego plastyku sporządzoną warstwą skafandra a właściwym jego korpusem ziała cieniutka szczelina, wypełniona dwoma rodzajami barwników, czy raczej mas półpłynnych, aluminiowanej i nawęglonej. Przepychało je po prostu ciśnienie tlenu z aparatury do oddychania.

Ale trzeba było już iść na statek. Przedtem, przychodząc ze słońca, Pirx nie widział nic w komorze ciśnieniowej, taki był oślepiiony. Teraz dopiero zauważył, że była osobiście urządzone - cała jedna ściana chodziła jak tłok. A to dlatego, wyjaśnił Pnin, żeby za jednym zamachem można wpuszczać albo wypuszczać dowolną ilość ludzi i niepotrzebnie nie tracić powietrza. Pirx poczuł coś w rodzaju zazdrości, bo komory w Instytucie były to wysłużone pudła, przestarzałe co najmniej o pięć lat, a pięć lat technologicznego zacofania - to cała epoka! Słońce pozornie wcale się nie opuściło. Dziwnie szło się w nadymany butach, jakby ponad gruntem, ale uczucie to znikło, nim doszli do rakiety.

Profesor przytknął hełm do hełmu Pirxa, wykrzyknął kilka pożegnalnych słów, podali sobie ręce w ciężkich rękawicach i wleźli za pilotem do brzucha rakiety, która odrobinę siadła pod zwiększonym ciężarem.

Pilot odczekał, żeby tamci mogli odejść na bezpieczną odległość, i zapuścił silniki. Wewnątrz skafandra ponury grzmot narastającego ciągu brzmiał jakby zza grubej ściany. Ciężenie wzrastało, ale nawet nie poczuli, kiedy rakietę oderwała się od gruntu. Tylko gwiazdy zawahały się w iluminatorach, a widoczne przez ich niższy pas skalne pustkowia opadło w dół i znikło.

Lecieli teraz zupełnie nisko i dlatego nic nie widzieli tylko pilot obserwował przesuwaną się pod rakieta upiorny krajobraz. Rakietę wisiała pionowo jak helikopter. Narastanie szybkości poznawało się po głośniejszym ciągu i delikatnej wibracji całego korpusu.

- Uwaga, schodzimy - dobiegły słowa z wnętrza hełmu. Pirx nie wiedział, czy to mówi pilot przez instalację pokładowego radia, czy Pnin. Fotele rozłożyły się. Odetchnął głęboko, stał się lekki, tak lekki, jakby miał popłynąć ku sufitowi; odruchowo ujął poręcze. Pilot zahamował ostro, dysze zabuzowały, zagrały skowyczącym tonem, wrzask odwróconych, wijących się wzdłuż ścian płomieni urósł nieznośnie, ciężenie wzrosło, zmałało, i Pirxa doszedł podwójny, suchy odgłos

stuknięcia - siedli. W następnej chwili stało się coś nieoczekiwanego. Rakieta, która weszła już w te swoje kołyszące się ruchy i huśtała się w górę i w dół, chyba trochę tak, jak czasem owad wykonujący odwłokiem miarowe przysiady, pochyliła się i z narastającym grzechotaniem głazów zaczęła się najwyraźniej obsuwać... Katastrofa - przemknęło w myśli Pirxowi. Nie przestraszył się, ale odruchowo napiął wszystkie mięśnie. Tamci dwaj leżeli nieruchomo. Silnik milczał. Rozumiał doskonale pilota: pojazd chwiejnie, kulawo sunął wraz z osypiskiem i ciąg silników, zanimby go uniósł w górę, mógł - przy nagłym przechyle jednej z "nóg" - przewrócić ich lub rzucić na skały.

Grzechotanie i wizg przesuwających się pod stalowymi łapami brył kamiennych słabły, aż ustały. Jeszcze parę strumyków żwiru dźwięcznie uderzyło o stal, jeszcze jakiś odłam usunął się głębiej pod ciężarem przegubowej "nogi" i kabina powolutku osiadła, przekrzywiona o jakieś dziesięć stopni.

Pilot wylazł ze swojej studzienki trochę nieswój i zaczął tłumaczyć, że konfiguracja terenu zmieniła się: widocznie północnym żlebem zeszła nowa lawina. Łądował na piargu, pod ścianą, bo chciał, żeby mieli jak najbliżej.

Pnin odparł, że to nie jest najlepszy sposób skracania drogi, lawinisko - nie kosmodrom, i kiedy się nie musi, ryzykować nie wolno. Na tym się krótka wymiana zdań skończyła, pilot przepuścił ich do służby i zeszli po drabince na piarg. Pilot został w rakiecie, czekając na powrót Pnina, a oni ruszyli we dwóch za wielkim Rosjaninem.

Pirx sądził dotąd, że zna Księżyc. Mylił się jednak. Otoczenie Ciołkowskiego było rodzajem promenady w porównaniu z miejscem, w którym się znalazł. Rakieta, przechylona na maksymalnie rozstawionych „nogach”, ugrzęzłych w kamiennym lawinisku, stała jakieś trzysta kroków od cienia, rzucanego przez główny wał Mendelejewa. Rozżagwiona w czarnym niebie czeluszka słoneczna dotykała niemal grani, która zdawała się w tym miejscu topnieć - ale to było złudzenie. Nie był nim obszar pionowych ścian, wychodzących z ciemności jakiś kilometr, a może dwa dalej; ku porzniętej głębokimi rowami równinie, stanowiącej dno krateru, zbiegały ze żlebów przeraźliwe białe stożki osypisk; miejsca świeżych obwałów można było poznać po zmętnieniu rysunku głazów, wywołanym osiadającą w ciągu godzin kurzawą. Samo dno krateru, z popękanej taflami lawy, także pokrywała warstwa jasnego pyłu; cały Księżyc upudrowany był mikroskopijnymi szczątkami meteorów, tego martwego deszczu, który od milionleci padał nań z gwiazd.

Po obu stronach ścieżki, a właściwie nagromadzenia brył i odłamów, równie dzikiego jak całe otoczenie, tej ścieżki, co nazwę swą zawdzięczać mogła tylko osadzonym w cemencie aluminiowym tykom, z których każda miała u szczytu rodzaj rubinowej kulki, po obu stronach tego w górę piargów wycelowanego szlaku stały, w połowie objęte światłem, w połowie czarne jak noc

galaktyczna, ściany, z którymi nie mogły się równać olbrzymy Alp czy Himalajów.

Niewielkie ciężenie księżycowe pozwalało budulcowi skalnemu przybierać formy, zrodzone jakby w koszmarnym śnie, i trwać w nich wiekami, że oko, choćby nawykłe do widoku przepaści, prędzej czy później gubiło się podczas wędrówki ku szczytom, a inne zmysły potęgowały jeszcze wrażenie nierzeczywistości, niemożliwości takiego krajobrazu: białe bryły pumeksu trącone stopą podlatywały w górę, jak pęcherze, najcięższy zaś bazaltowy okruch, rzucony na osypisko, leciał niesamowicie powoli i długo, aby upaść bezdźwięcznie - tak właśnie, jakby to było tylko we śnie. Kilkaset kroków wyżej barwa skały zmieniała się. Rzeki różowawego porfiru dwoma obwałowaniami obejmowały żleb, ku któremu szli. Głazy, spiętrzone gdzieniegdzie na wysokość kilku pięter, szczipione brzytwowatymi krawędziami, jak gdyby czekały tylko dotknięcia, które puści je niepowstrzymanym kamieniospadem.

Pnin prowadził ich przez ten las skamieniałych wybuchów idąc niezbyt szybko, lecz nieomylnie. Czasem płyta, na której postawił nogę w ogromnym bucie skafandra, zachyboła. Wówczas zamierał na mgnienie i albo szedł dalej, albo omijał to miejsce, poznając po sobie tylko wiadomych oznakach, czy gład wytrzyma ciężar człowieka, czy nie.

A przy tym dźwięk, tak wiele mówiący wspinaczowi, tutaj nie istniał.

Jedna z pałub bazaltowych, które omijał, bez najmniejszej przyczyny obruszyła się w dół stoku, lecąc ruchem jakby sennym, zwolnionym - aż porwała za sobą gromadę kamieni, które wściekłymi susami sadyły coraz szybciej, nareszcie biała jak mleko kurzawa okryła dalszą drogę lawiny. Widowisko to było właśnie jak z majaczenia, maligny - zderzające się bryły nie wydawały głosu i nawet drżenia gruntu nie czuło się przez pękate podeszwy butów; kiedy ostro zakręcili przy następnym zakosie, Pirx zobaczył ślad zejścia lawiny i ją samą, już jako chmurę łagodnie ścielących się fal. Odruchowo, z niepokojem poszukał oczami rakiety, ale była bezpieczna - stała jak przedtem oddalona może o kilometr, może o dwa, widział jej lśniący odwłok i trzy kreseczki nóżek. Niby dziwny owad księżycowy spoczywała na starym lawinisku, które przedtem wydawało mu się spadziste, teraz zaś płaskie niczym stół.

Gdy zbliżyli się do strefy cienia. Pirx przyspieszył kroku. Zaciekłość i groza bijące z otoczenia tak absorbowały Pirxa, że nie miał wprost czasu, by obserwować Langnera. Teraz doszło do niego, że mały astrofizyk idzie pewnie i nigdy się nie potyka.

Trzeba było przeskoczyć czterometrową szczelinę. Pirx włożył w skok zbyt wiele siły; poszybował w górę i opadł poruszając bezsensownie nogami dobrych osiem metrów za krawędzią przeciwległego brzegu. Dopiero w takim skoku księżycowym otwierało się człowiekowi nowe doznanie, które nie miało nic wspólnego z błaznowaniem turystów hotelowych Luny. Weszli w cień. Dopóki znajdowali się względnie blisko osłonecznionych płyt skalnych, ich odbłask

rozjaśniał trochę otoczenie i grał w wypukłościach skafandrow. Ale rychło mrok jął gęstnieć, aż stał się taki, że znikli sobie z oczu. W tym cieniu była noc. Pirx poczuł jej mróz przez wszystkie warstwy antytermiczne skafandra; mróz nie docierał bezpośrednio do ciała, nie kasał skóry, był tylko jakby objawieniem nowej milczącej, lodowatej obecności poszczególne płyty pancerne skafandra najwyraźniej zadrgały, ochłodzone o dwieście kilkadziesiąt stopni. Gdy oczy nawykły, Pirx zobaczył, że kule na szczytach aluminiowych masztów wydzielają wcale silne, czerwone światło; paciorki tego rubinowego naszyjnika zakręcały wzwyż i znikły w słońcu - tam rozpekły grzbiet skalny sadził ku równinie trzema przepaściami ; przedzielały je wąskie, poziome przesunięcia tafli ściennych, tworząc rodzaj ostrych gzymsów. Wydawało mu się, że nikiący szereg masztów prowadzi do jednej z owych półek, ale pomyślał, że to chyba niemożliwe. Wyżej, przez rozwalony jakby piorunowymi ciosami główny wał Mendelejewa, szedł słup poziomego prawie światła słonecznego. Wyglądało ino jak rozpoczynający się w głuchym milczeniu wybuch, bryzgający rozpaloną bielą na skalne filary i kominy.

- Tam jest Stacja - usłyszał w hełmie bliski głos Pnina. Rosjanin zatrzymał się na granicy nocy i dnia, mrozu i żaru, pokazując coś w górze, lecz Pirx oprócz czarniawych nawet w słońcu zerw niczego nie zobaczył.

- Widzicie Orła... Tak nazwaliśmy ten grzbiet... to jest głowa, to dziób, a to - skrzydło...

Pirx widział tylko nagromadzenie światła i cieni, nad wschodnią roziskrzoną granią sterczała pozornie bliska, bo nie rozmyta powietrzną mgiełką, przechylona turnia. Nagle zobaczył całego Orła - skrzydło to była właśnie ta ściana, ku której zmierzali: wyżej z grani wyłaniała się głowa na tle gwiazd, turnia była dziobem.

Spojrzał na zegarek. Szli już czterdzieści minut. A więc chyba co najmniej jeszcze drugie tyle.

Przed następną strefą cienia Pnin zatrzymał się, żeby przestawić swój klimatyzator. Pirx skorzystał z tego i spytał, którądy szła droga.

- Tędy - wskazał ręką w dół. Pirx widział tylko pustkę, a na jej dnie stożek osypiska, z którego sterczały wielkie odłamy skalne.

- Stamtąd oberwała się płyta - tłumaczył Pnin, zwracając się teraz ku wgłębieniu grani. - To jest Brama Słoneczna. Nasze sejsmografy w Ciołkowskim zarejestrowały wstrząs; przypuszczalnie zeszło około pół miliona ton bazaltu...

- Zaraz - powiedział oszołomiony Pirx - a jak się teraz dostarcza na górę zapasy?

- Sami zobaczycie, jak tam przyjdziemy - rzekł tamten i ruszył z miejsca. Pirx podążył za nim, łamiąc sobie głowę nad rozwiązaniem tej zagadki, ale nic nie wymyślił. Czyżby wynosili każdy litr wody, każdą butlę tlenu na plecach?

To było niemożliwe.

Teraz szli szybciej. Ostatnia aluminiowa tyka tkwiła u przepaści. Ogarnęła ich ciemność. Zaświecili czołowe reflektory, których plamy błędnie podrygiwały, przeskakując z jednych garbów ściany na inne: kroczyli po gzymsie, zwążającym się miejscami do szerokości dwóch dłoni, gdzie indziej tak szerokim, że można było stanąć na nim w rozkroku. Szli jak po linie, tą półką lekko pofałdowaną, ale zupełnie płaską, jej chropowatość dawała dobre oparcie. Co prawda wystarczyłby jeden fałszywy krok, zawrót głowy.

Dlaczego nie związaliśmy się? - pomyślał Pirx. W tej chwili plama świetlna przed nim znieruchomiła. Pnin stanął.

- Lina - powiedział.

Podał koniec Pirxowi, a ten z kolei - przełożywszy linę przez karabinki pasa - rzucił ją do Langnera. Nim ruszyli, Pirx mógł, oparty o skałę, patrzeć przed siebie.

Całe wnętrze krateru leżało pod nim jak na dłoni - czarne wąwozy lawy stały się siateczką pęknięć, przysadkowaty stożek centralny rzucił długi pas cienia.

Gdzie była rakietka? Nie mógł jej znaleźć. Gdzie droga? Te zakosy, znaczone szeregami aluminiowych tyk? Także znikły.

Była tylko przestrzeń skalnego cyrku w blasku oślepiającym i smugach czerni, ciągnących się od rumowisk do rumowisk; jasna mąka skalna podkreślała rzeźbę terenu, z jej groteskowymi rojami kraterów coraz to mniejszych w samym tylko obrębie wałów Mendelejewa musiały ich być setki, od półkilometrowych do ledwo widocznych; każdy był ściśle okrągły, z pierścieniem o łagodnym stoku zewnętrznym i bardziej spadzistym ku środkowi, z centralną górką lub stożkiem, a przynajmniej drobnym punktem, na kształt pępka - mniejsze były wiernymi kopiami małych, małe średnich, a wszystkie razem obejmowały ogrom ścian skalnych tego koliska trzydziestokilometrowego.

To sąsiedztwo chaosu i precyzji drażniło umysł ludzki; była w tym stwarzaniu i niszczeniu form według jedyne go wzoru zarazem doskonałość matematyczna i zupełna anarchia śmierci. Spojrzał w górę i w ty: - przez Bramę Słoneczną wciąż buchały potoki białego żaru.

Kilkaset kroków za wąskim żłebem ściana cofnęła się, wciąż szli cieniem, rozjaśnionym jednak światłem odbijanym przez pionową maczugę skalną, która wzbijała się z mroków chyba na dwa kilometry; przetrąwszy język piargu i ukazał się, zalany słońcem, stok niezbyt stromy; Pirx zaczął odczuwać dziwne odrętwienie, nie mięśni, lecz umysłu, zapewne od nieustającego napięcia uwagi - bo wszystko miał tu naraz i Księżyc, i jego dzikie góry, i noc lodowatą na przemian z przepływami nieruchomego upału, i to olbrzymie, pochłaniające wszystko milczenie, w którym odzywający się od czasu do czasu w hełmie głos ludzki był czymś nieprawdopodobnym,



niewłaściwym... Jakby ktoś na szczycie Matterhornu niósł złotą rybkę w akwarium : tak odcinał się ów głos od zamarłego otoczenia.

Pnin skręcił za rzucającą ostatni cień iglicę i cały zapalił się, jakby oblany ogniem - Pirxowi ten sam ogień chlusnął w oczy, nim zdążył jeszcze pojąć, że to słońce, że wstąpili na górę, ocalała część drogi.

Szli teraz obok niebie szybko z opuszczonymi obiema zasłonami przeciwsłonecznych hełmów.

- Zaraz będziemy - powiedział Pnin.

Tej drogi rzeczywiście mogły używać pojazdy. Była wryta w skałę, a właściwie otwarta sterowanymi eksplozjami: wprowadzała, pod nawisem Orlego Skrzydła, na samą grań; był tam rodzaj niewielkiej przełęczki, z naturalnym, podcięty od dołu kotłem skalnym. Ten kocioł umożliwił zaopatrywanie stacji po katastrofie. Ciężarowa rakietka przewoziła zapasy i specjalny moździerz najpierw wstrzeliwał się do celu - tego basenu skalnego - a potem zaczynał strzelać pojemnikami. Kilka ulegało zwykle strzaskaniu, lecz większość wytrzymywała strzał i zderzenie ze skałą, bo ich pancerne korpusy były nad wyraz odporne. Dawniej, kiedy nie było jeszcze nawet Luny Głównej ani żadnych w ogóle stacji, jedynym sposobem dostarczania zapasów ekspedycjom zagłębiającym się w okolice Sinus Medii było właśnie zrzucanie z raket zasobników, a że spadochrony na nic by się nie zdały, musiano konstruować te duralowe czy stalowe pudła tak, by wytrzymały gwałtowny upadek.

Ciskano je, niby bomby jakieś, a ekspedycja zbierała później rozproszone nieraz i na przestrzeni kwadratowego kilometra. Pojemniki te przydały się teraz na nowo.

Od przełęczy szlak wiódł pod samą granią ku północnemu szczytowi Orlej Głowy; jakieś trzysta metrów pod nim błyszczał pancerny kołpak Stacji. Od strony stoku otaczał go półpierzścień głazów, staczających się w przepaść i opasujących stalową banię, która stała na ich drodze. Kilka takich głazów spoczywało na betonowej platformie w pobliżu wejścia.

- To już nie można było znaleźć lepszego miejsca! - wyrwał się Pirxowi okrzyk.

Pnin, który stawił już nogę na pierwszym stopniu platformy, zatrzymał się.

- Zupełnie jakbym słyszał Animcewa - powiedział i Pirx wyczuł w jego głosie uśmiech.

Pnin odszedł - sam - cztery godziny przed zachodem słońca. Ale właściwie odszedł w noc, bo prawie cała droga, którą musiał przebyć, ogarnięta już była nieprzeniknioną ciemnością, i Langner, który znał Księżyc, powiedział Pirxowi, że kiedy tamtędy szli, nie było jeszcze naprawdę zimno; skała dopiero stygła. Rzetelny mróz brał jakąś godzinę po zapadnięciu mroków.

Umówili się z nim, że da znać, gdy dotrze do rakiety.

I rzeczywiście, w godzinę i dwadzieścia minut później ich radiostacja odezwała się, mówił Pnin. Zamienili tylko parę słów, bo był już najwyższy czas, tym bardziej że start odbyć się musiał w trudnych warunkach - rakietę nie miała pionu, a łapy jej dość głęboko weszły w rumowisko i działały jak rodzaj obciążonych balastem kotwic.

Widzieli ten start, osunawszy stalową okiennicę - nie sam jego początek, gdyż miejsce postoju zasłaniały żebra głównej grani. Ale naraz mrok, gęsty i bezpostaciowy, przeszła linia ognista, której z dołu zawtórował rudawy brzask, było to światło odrzutu, odbijane kurzawą, wydmuchniętą spomiędzy głazów lawiniska. Ognisty grot szedł wyżej i wyżej, i nie widać było wcale rakiety, tylko tę strunę pałającą, coraz cieńszą, rozedrganą, rozpadającą się na pasma - normalna pulsacja silnika idącego całą mocą. Potem - a głowy ich uniesione były ku niebu i wypisujący na nim odlot tor ogniowy spoczywał już wśród gwiazd - prosta pochyliła się łagodnie i pięknym łukiem poszybowała za horyzont. Zostali sami, w ciemności, bo umyślnie zgasili wszystkie światła, żeby pewniej widzieć start. Zasunęli pancerną klapę okna, zaświecili lampy i spojrzeli na siebie. Langner lekko się uśmiechnął i, zgarbiony, w kraciastej flanelowej koszuli podszedł do stołu, na którym spoczywał jego plecak. Zaczął wydobywać z niego książki, jedną po drugiej, Pirx, oparty o zakłęśłą ścianę, stał na rozstawionych nogach, jak na pokładzie odlatującego daleko statku.

Miał w sobie wszystko naraz, chłodne podziemia Luny Głównej, wąskie korytarze hotelowe, ich windy, turystów skaczących pod sufit i wymieniających kawałki nadtopionego pumeksu, lot do Ciołkowskiego, wielkich Rosjan, srebrną siateczkę radioteleskopu pomiędzy granią i czarnym niebem, opowiadanie Pnina, drugi lot i tę drogę niesamowitą, poprzez skalny mróz i żar, z otchłaniami zagładającymi w szybkę hełmu. Nie mógł uwierzyć, że tak wiele pomieściło w sobie kilka zaledwie godzin - czas zolbrzymiał, ogarnął te obrazy, pochłonął je, a teraz wracały, jakby walcząc o pierwszeństwo. Zamknął na chwilę rozpalone, suche powieki i znów je otworzył.

Langner systematycznie układał książki na półce i Pirxowi wydało się, że pojął tego człowieka, jego spokojne ruchy, gdy stawiał tom obok tomu, nie wynikały z tępoty ani obojętności, nie przytłaczał go ten martwy świat, bo mu służył: przybył na Stację, ponieważ tego chciał, nie tęsknił za domem, jego domem były spektrogramy, wyniki obliczeń i miejsce, w którym powstawały, wszędzie mógł być u siebie, skoro potrafił tak skoncentrować swoją zachłanność: wiedział, po co żyje - był ostatnim człowiekiem, któremu Pirx wyznałby swoje romantyczne marzenia o wielkim czynie. Pewno by się nawet nie uśmiechnął, jak przed chwilą, wysłuchałby go i wrócił do swojej pracy. Pirx przez mgnienie zazdrościł mu tej pewności, samowiedzy, ale czuł zarazem obcość Langnera, nie mieli sobie nic do powiedzenia i musieli przeżyć razem tę

rozpoczynając się noc i dzień po niej.

Obszedł oczami kabinę, jakby widział ją po raz pierwszy. Kryte plastykiem, zakłęste ściany. Zamknięte klapą pancerną okno. Podsufitowe, wpuszczone w plastik lampy. Kilka kolorowych reprodukcji między półkami z fachową lekturą i wąska tabliczka w ramce, z wpisanymi pod sobą w dwóch rzędach nazwiskami tych wszystkich, którzy byli tu przed nimi. Po kątach puste butelki tlenowe, skrzynki po konserwach, wypełnione okruchami różnobarwnych minerałów, metalowe, lekkie krzesła z nylonowymi siedzeniami. Mały stół, nad nim chodząca na ramieniu lampa do pracy. Przez uchylone drzwi widać było aparaturę radiostacji.

Langner robił porządki w szafie, pełnej klisz fotograficznych. Pirx wyminął goi wyszedł. Z korytarzyka na lewo szły drzwi do kuchenki, na wprost - do komory wyjściowej, na prawo - do dwu miniaturowych pokoików. Otworzył swój. Oprócz łóżka, składanego krzeselka, wsuwanego w ścianę pulpitu i półeczki - nie było tam nic. Strop z jednej strony nad łóżkiem opadał skośnie jak w mansardzie, nie płasko jednak, lecz półkuliście, zgodnie z krzywizną zewnętrznego pancerza. Wrócił na korytarz. Drzwi komory ciśnieniowej miały owalnie zaokrąglone naroża, brzegi ujęte grubą warstwą hermetyzującego plastyku, koło szprychowe i lampkę, świecącą, gdy przy otwartej klapie zewnętrznej w komorze panowała próżnia. Teraz lampka była ciemna. Otworzył drzwi. Dwie lampy zaświeciły się automatycznie, ukazując ciasną przestrzeń o nagich metalowych ścianach, z pionową drabinką pośrodku; dochodziła do klapy w stropie. Pod ostatnim szczeblem widniał jeszcze, zatarty licznymi stąpięciami, kontur obrysowany kredą. W tym miejscu znaleziono Savage'a; leżał skulony, trochę na boku, i nie można go było podnieść, bo przymarzł do chropowatych płyt własną krwią, która rozerwała mu oczy i twarz.

Pirx patrzył na ten obrys białawy, zaledwie przypominający sylwetę człowieka, potem cofnął się i zamknąwszy hermetyczne drzwi, podniósł głowę; usłyszał kroki na górze. To Langner wszedł po drabince, przystawionej do przeciwległej ściany korytarza, i krzątał się w obserwatorium. Wetknąwszy głowę przez okrągły otwór podłogi, Pirx ujrzał pokrowcem osłonięty, podobny do niewielkiego działa teleskop, kamery astrografów i dwa spore aparaty - była to komora Wilsona i druga, olejowa, wraz z błyskowym urządzeniem do fotografowania śladów. Stację przeznaczono do badania promieni kosmicznych, i klisze, których się do tego używa, były wszędzie: ich pomarańczowe paczki leżały między książkami, pod półkami, w szufladach. obok łóżek, nawet w kuchence. I to było już wszystko? Właściwie tak, jeśli nie liczyć wielkich zbiorników wody i tlenu, umieszczonych pod podłogą, głucho osadzonych w skale księżycowej, w samym masywie Mendelejewa.

Nad drzwiami każdego pomieszczenia znajdował się okrągły czujnik, wskazujący stężenie dwutlenku węgla. Nad nim widniało dziurkowane sitko klimatyzatora. Aparatura pracowała

bezglóśnie. Wsysała powietrze. oczyszczała je z dwutlenku węgla, dodawała właściwą ilość tlenu, zwilżała lub osuszała i tłoczyła z powrotem do wszystkich kabin. Pirx rad był każdemu stuknięciu dochodzącemu z obserwatorium; gdy milkły, cisza rozrastała się, że zaczynał słyszeć szelest własnej krwi, jak w tym basenie eksperymentalnym, w “kąpieli wariackiej”, ale z niej w każdej chwili można było wyjść.

Langner zeszedł na dół i przyrządził kolację - tak cicho i sprawnie, że kiedy Pirx wszedł do kuchenki, wszystko było już gotowe. Jedli, nie odzywając się prawie. “Poproszę sól. Chleb jest w puszkach? Jutro trzeba będzie otworzyć nową. Kawy czy herbaty?”

Tylko tyle. Pirxowi odpowiadała teraz małomówność. Co właściwie jedli? Trzeci obiad w tym dniu? Czy może czwarty? A może już śniadanie następnej doby? Langner powiedział, że musi wywołać naświetlone klisze. Poszedł na górę. Pirx nie miał nic do roboty. Nagle to zrozumiał. Przyszli go po to, żeby Langner nie był sam. Nie znał się przecież na astrofizyce, na promieniach kosmicznych. Gdzieżby tam Langnerowi chciało się go uczyć posługiwania się astrografem! Zdobył pierwszą lokatę, psychologowie stwierdzili, że nie może zwariować, ręczyli za niego.

Więc miał przesiedzieć w tym garnku dwa tygodnie nocy, a potem dwa tygodnie dnia, oczekując nie wiadomo czego, bacząc nie wiadomo na co.

To “zadanie”, ta “misja”, która przed kilkunastu godzinami wydała mu się niewiarygodnym szczęściem, naraz ukazała mu swoje właściwe oblicze bezkształtnej pustki. Przed czym miał bronić Langnera i siebie? Jakich szukać śladów?

I gdzie? Czy sądził może, że odkryje coś, co przegapili wszyscy świetni specjaliści wchodzący w skład komisji, ludzie znający Księżyc od lat? Ależ był idiotą!

Siedział przy stole. Trzeba było zmyć naczynia. I zakręcić kurek, bo woda, bezcenna woda, którą przywożono w postaci zamrożniętych bloków i strzelano nią z moździerza, dwu i półkilometrową parabolą, w kocioł u stóp Stacji, ta woda uciekała, kapiąc.

Nie ruszał się. Ręki nawet nie podniósł, gdy opadła bezwolnie na krawędź stołu. W głowie miał żar i pustkę, ciemność i milczenie, które otaczały stalową skorupę ze wszystkich stron. Przetarł oczy, piekące jak zasypane piaskiem. Wstał, jakby ważył dwa razy więcej niż na Ziemi. Zaniósł brudne talerze do zmywaka, rzucił je z hałasem, puścił na nie strumyk ciepłej wody. I myjąc je, obracając, zdrapując zastygłe resztki tłuszczu, uśmiechnął się nad swoimi marzeniami, które odpadły odeń gdzieś, na tej drodze ku grani Mendelejewa, i zostały tak daleko, takie śmieszne i obce, takie dawne, że nie musiał się ich wstydzić.

Z Langnerem można było przeżyć dzień albo rok i niczego to nie zmieniało. Pracował

chętnie, ale miarowo. Nigdy się nie spieszył. Nie miał żadnych nałogów, żadnych dziwactw, śmieszności. Kiedy się z kimś żyje w takiej ciasnocie, byle głupstwo zaczyna drażnić. Że ten drugi przesiaduje pod tuszem, że nie chce otwierać puszek ze szpinakiem, bo nie lubi szpinaku, że miewa humory, że pewnego dnia przestaje się golić i straszy kolącą szczecina, albo kiedy się goli i zadrapie, godzinę będzie się przeglądał w lustrze, robiąc miny, jakby był sam. Langner taki nie był. Jadł wszystko, choć bez zapachu. Nie miał humorów, kiedy miał myć naczynia, mył je. Nie opowiadał długo i szeroko o sobie i swoich pracach. Zapytany o coś, odpowiadał. Nie unikał Pirxa. Nie narzucał mu się.

Właściwie ta nijakość może i zaczęłaby Pirxa drażnić, bo wrażenie pierwszego wieczoru - kiedy fizyk ustawiający na półce książki wydał mu się wcieleniem skromnego bohaterstwa, a właściwie nie bohaterstwa, lecz godnej zazdrości, po stoicku mężnej postawy naukowej - to wrażenie znikło i Pirxowi wydawał się ten towarzysz przymusowy człowiekiem szarym do znudzenia. Ale Langner mimo wszystko nie nudził go ani drażnił, okazało się bowiem, że on, Pirx, ma, na razie przynajmniej, i tak aż nadto zajęcia. Było to zajęcie pochłaniające. Teraz kiedy znał Stację i jej otoczenie, jeszcze raz wziął się do studiowania wszystkich dokumentów.

Katastrofa zaszła w cztery miesiące po uruchomieniu Stacji. Wbrew spodziewaniom nie nastąpiła zresztą o świcie czy o zmierzchu, lecz w samo niemal księżycowe południe. Trzy czwarte przewieszanej płyty Orlego Skrzydła runęło bez jakichkolwiek zwiastunów. Widowisko to miało naocznych świadków, w powiększonej chwilowo do czterech osób załodze Stacji, która oczekiwała właśnie kolumny transporterów z zapasami.

Późniejsze badania wykazały, że wcięcie w głąb wielkiego filaru Orła rzeczywiście naruszyło krystaliczny trzon skał i jego równowagę tektoniczną. Anglicy zrzucili odpowiedzialność na Kanadyjczyków, Kanadyjczycy na Anglików, lojalność zaś partnerów Wspólnoty Brytyjskiej przejawiała się w tym, że ostrzeżenia profesora Animcewa obie strony konsekwentnie przemilczały. Jakkolwiek rzecz się miała, skutki były tragiczne. Czterej ludzie stojący przed Stacją, oddaloną w linii prostej od miejsca katastrofy o niecałą milę, widzieli, jak oślepiająca ściana rozdwa się, jak pęka na kawały system klinów i murów przeciwlawinowych, które ścięły następne uderzenia; jak ta cała masa pędzących brył znosi drogę wraz z podpierającą ją formacją i schodzi w dolinę, która przez trzydzieści godzin była morzem łagodnie falującej bieli - pędzony straszliwym impetem, zalew tej kurzawy osiągnął w ciągu kilku minut przeciwległą ścianę krateru.

W zasięgu zniszczenia znalazły się dwa transportery. Tego, który zamykał kolumnę, w ogóle nie udało się znaleźć. Szczątki pogrzebała dziesięciometrowa warstwa rumowiska. Drugi próbował uciec. Znajdował się już poza nurtem lawiny, na górnym ocalałym odcinku drogi, ale jedna ogromna bryła, przeskoczywszy zachowaną resztkę muru lawinowego, taranowała go i

zmiotła w trzystametrową przepaść. Jego kierowca zdołał otworzyć luk i wypadł na toczące się piargi. On jeden przeżył swych towarzyszy, zresztą o kilka zaledwie godzin. Ale tych kilka godzin stało się piekłem dla pozostałych. Ów człowiek, Francuz kanadyjski, nazwiskiem Roget, nie stracił przytomności czy też odzyskał ją tuż po katastrofie - i z wnętrza białej chmury, która okryła całe dno krateru, wzywał pomocy. Jego odbiornik radiowy był zepsuty, ale nadajnik działał. Niepodobna go było odnaleźć. Wskutek wielokrotnego załamywania fal, odbitych od głazów (a były one wielkości kamienic - ludzie poruszali się w labiryncie wypełnionym mlekiem kurzu jak w ruinach miasta), próby pelengowania tylko wprowadzały w błąd. Zawartość siarczków żelaza w skale czyniła radar bezużytecznym. Po godzinie, gdy spod Bramy Słonecznej zszedł drugi kamieniospad, przerwano poszukiwania. Ta druga lawina była niewielka, ale mogła wszakże zwiastować następne obrywy. Czekano więc, a głos Rogeta słyhać było dalej, szczególnie dobrze na górze, na samej Stacji; kamienny kocioł, w którym tkwił, działał jak rodzaj wzwyż wycelowanego reflektora. Po trzech godzinach przybyli Rosjanie z Ciołkowskiego i wjechali w pyłową chmurę gaśienicówkami, które stawały dęba i groziły wywróceniem na ruchomym stoku: wskutek niewielkiej ciężkości kąta nachylenia pól piarżystych jest na Księżycu większy niż na Ziemi. Tyraliery ratowników, spieszone tam, gdzie i gaśienicówki przejść nie mogły, trzykrotnie przeczesaly ruchomy obszar osypiska.

Jeden z ratowników wpadł do szczeliny i tylko natychmiastowe przewiezienie na Ciołkowskiego, z niezwłoczną akcją lekarską, uratowało mu życie.

I wówczas nie wycofano się z wnętrza chmury, ponieważ głos Rogeta, coraz słabszy, słyszeli wszyscy.

W pięć minut po wypadku zamilkł. Żył jeszcze. Wiedziano o tym. Każdy skafander posiadał bowiem, oprócz radia, służącego do komunikacji głosem, miniaturowy automatyczny nadajnik, połączony z aparatem tlenowym. Każdy wdech i wydech przekazywany falami elektromagnetycznymi rejestrował na Stacji specjalny wskaźnik, rodzaj oka magicznego, jako miarowe rozszerzanie się i kurczenie zielono świecącego motylka, i ten fosforyzujący ruch wskazywał, że nieprzytomny, konający Roget wciąż jeszcze dyszy; pulsacja ta stawała się coraz wolniejsza - nikt nie mógł wyjść z radiostacji, stłoczeni w niej ludzie bezsilnie czekali na śmierć.

Roget oddychał jeszcze dwie godziny. Potem zielony płomyk w oku magicznym zamigotał, skurczył się i tak już został. Pogruchothane ciało odnaleziono dopiero po trzydziestu godzinach, stężale na kamień, i pochowano je, tak okaleczone, że nie otwarto nawet skafandra, w tym na pół zgniecionym pokrowcu metalicznym, jak w trumnie.

Potem wytyczono nową drogę, a właściwie tę ścieżkę skalną, którą przybył na Stację Pirx. Kanadyjczycy gotowali się porzucić Stację, lecz ich uparci koledzy angielscy nie dawali za

wygraną.

Echo katastrofy obiegało całą Ziemię w licznych, nieraz całkowicie sprzecznych wersjach, na koniec wrzawa ta ucichła. Tragedia stała się częścią kronik o zmaganiu z pustyniami Księżyca. Na Stacji zmieniali się dyżurni astrofizycy.

Tak minęło sześć księżycowych dni i nocy. I kiedy wydawało się, że to niedawno tak doświadczony miejsce nie zrodzi już żadnej sensacji, raptem radio Mendelejewa nie odpowiedziało ze świtem na wezwanie Ciołkowskiego.

I tym razem na ratunek, czy raczej na zwiad, wobec niezrozumiałego milczenia Stacji, wyruszyła ekipa z Ciołkowskiego. Przybyła rakietą, która wylądowała u stóp wielkiego lawiniska pod Orlim Szczytem.

Do kopuły Stacji dotarli, kiedy cały niemal krater wypełniała jeszcze nie rozwidniona żadnym promieniem słonecznym ciemność. Tylko pod szczytem stalowy czerep iskrzył się w poziomym świetle. Klapa wyjściowa była szeroko otwarta. Pod nią, u stóp drabinki, spoczywał Savage, w takiej pozycji, jakby osunął się z jej szczebli. Przyczyną zgonu było uduszenie - pancerne szkło jego hełmu pękło.

Później wykryto na wewnętrznej powierzchni jego rękawic nikielne ślady skalnego pyłu, jakby wracał ze wspinaczki. Ale ślady te mogły pochodzić sprzed jakiegoś czasu. Drugiego Kanadyjczyka, Challiersa, znaleziono dopiero po systematycznym przepatrzeniu wszystkich okolicznych żlebów i rynien. Ratownicy, spuściwszy się na trzystumetrowych linach, wydobyli jego ciało z dna przepaści pod Bramą Słoneczną. Spoczywało o kilkadziesiąt zaledwie kroków od miejsca, w którym zginął i pochowany został Roget.

Próby odtworzenia wypadków wyglądały zrazu beznadziejnie. Nikt nie umiał wysunąć prawdopodobnie brzmiącej hipotezy. Na miejsce przybyła mieszana komisja angielsko - kanadyjska. Zegarek Challiersa stanął na godzinie dwunastej, ale nie wiadomo było, czy strzaskał się o północy, czy w południe. Zegarek Savage'a stanął na drugiej. Dokładne badania (a badano tak dokładnie, jak na to pozwalały ludzkie możliwości) stwierdziły, że sprężyna rozkręciła się do końca. A zatem zegarek Savage'a nie stanął zapewne w chwili jego śmierci, lecz szedł jeszcze jakiś czas po niej.

We wnętrzu Stacji panował zwykły ład. Książka stacyjna, do której zapisywano wszelkie istotne wydarzenia, nie zawierała niczego, co mogłoby rzucić na wypadki choć odrobinę światła. Pirx przestudiował ją zapis po zapisie. Były lakoniczne. O tej a tej godzinie dokonano pomiarów astrograficznych, naświetlono tyle a tyle płyt w takich to warunkach, przeprowadzono następujące obserwacje wśród tych stereotypowych notatek żadna nie odnosiła się, choćby pośrednio, do tego, co zaszło na Stacji podczas ostatniej księżycowej nocy Challiersa i Savage'a:

We wnętrzu Stacji panował nie tylko ład : wszystko w niej świadczyło o tym, że śmierć zaskoczyła mieszkańców w sposób nagły. Znalaziono otwartą książkę, na której marginesie Challiers robił notatki ; leżała przyciśnięta drugą, aby się kartki nie zamknęły, pod świecą wciąz lampą elektryczną. Obok leżała fajka, która przechyliła się, i wypadający z niej żużelek osmalił lekko plastikowy blat stołu... A znów Savage gotował wtedy kolację. W kuchence otwarte były puszki konserw, w misce - rozmieszana z mlekiem papka omletowa, uchylone drzwi lodówki, rozstawione na białym stoliku dwa talerze, dwie pary sztućców, nakrojony, szcerstwiały chleb...

Więc jeden z nich porzucił lekturę, odłożył palącą się fajkę, tak jak to się robi, gdy ktoś chce opuścić pokój na kilka minut i zaraz wrócić. A drugi odszedł od kuchennych przygotowań, od patelni z roztopionym tłuszczem, nie zatrzasnąwszy nawet drzwi lodówki.

Nałożyli skafandry i wyszli, w noc. Równocześnie? Czy jeden po drugim? Po co? Dokąd?

Ich pobyt na Stacji trwał już dwa tygodnie. Doskonale znali jej otoczenie. Zresztą, noc miała się ku końcowi. Za kilkanaście godzin miało wzejść słońce. Czemu nie zaczekali na wschód; skoro obaj - czy jeden z nich - chciał schodzić na dno krateru? O tym, że taki był jak gdyby zamiar Challiersa, świadczyło miejsce, w którym go znaleziono. Wiedział, jak i Savage, że zapuszczenie się na płytę skalną pod Słoneczną Bramą, gdzie droga urywa się nagle, jest szaleństwem. Łagodna jej pochyłość przechodziła tu w stok coraz ostrzejszy, jakby zapraszając do zejścia w dół, ale kilkadziesiąt kroków niżej ziały już utworzone katastrofą zerwy. Nowa droga omijała to miejsce, szła prosto dalej, wzdłuż linii aluminiowych prętów. Wiedział o tym każdy, kto choć raz był na Stacji. I oto jeden ze stałych jej pracowników poszedł właśnie tam, zaczął zstępować po taflach idących w otchłań, dlaczego? Żeby się zabić?

Czy ktoś, kto chce popełnić samobójstwo, wstaje od ciekawej lektury, zostawia rozłożoną książkę, odkłada palącą się fajkę i idzie na spotkanie śmierci?

A Savage? W jakich okolicznościach pękło szkło jego hełmu? Czy dopiero wychodził ze Stacji, czy też do niej wracał? Chciał szukać Challiersa, który nie wracał? Ale dlaczego nie poszedł z nim razem? A jeżeli poszedł, to jak mógł pozwolić mu zejść ku przepaści?

Tyle było pytań bez odpowiedzi.

Jedyna rzecz, wyraźnie znajdująca się nie na swoim miejscu, to była paczka klisz fotograficznych, służących do utrwalania kosmicznych promieni. Leżała w kuchni, na białym stoliku, obok czystych, pustych talerzy.

Komisja doszła do następującego wniosku. W tym dniu pełnił dyżur Challiers. Zagłębiający w lekturze, w pewnym momencie spostrzegł, że dochodzi jedenasta.

O tej porze powinien był wymienić naświetlone klisze nowymi. Klisze poddawano naświetlaniu poza obrębem Stacji. Jakies sto kroków w górę zbocza znajdowała się wykuta w skale



studzienka, niezbyt głęboka, o ścianach pokrytych ołowiem, aby klisze trafiane były wyłącznie promieniami, biegnącymi z zenitu. To był jeden z przestrzeganych warunków ówczesnych prac. Challiers wstał zatem, odłożył książkę i fajkę, wziął nową paczkę klisz, włożył skafander, opuścił Stację przez komorę ciśnieniową, udał się do studzienki, wszedł do niej po wpuszczonych w cembrowinie szczelach, zmienił klisze i zabrawszy naświetlone, wracał.

Wracając, zboczył z drogi. Nie zepsuł mu się aparat tlenowy, więc nie zamała mu przytomności anoksja, brak tlenu. Tyle co się dało stwierdzić, gdy badano strzaskany skafander - po wydobyciu go z dna przepaści.

Członkowie komisji doszli do przekonania, że Challiers musiał ulec nagłemu zamroczeniu, w przeciwnym razie nie zmyliłby drogi. Znał ją zbyt dobrze. Może zasłabł chwilowo i omdlał, może uległ zawrotowi głowy, stracił orientację dość, że posuwał się naprzód sądząc, że wraca, gdy w rzeczywistości kierował się prosto w oczekującą go sto metrów dalej otchłań.

Savage, nie mogąc doczekać się jego powrotu, zaniepokojony, porzucił kolacyjne przygotowania, usiłował nawiązać z nim łączność radiową (stacja radiowa była włączona na ultrakrótkim zakresie fal łączności lokalnej ; mogła zostać naturalnie włączona wcześniej, gdy ktoś z dyżurujących usiłował pomimo zakłóceń nawiązać łączność z Ciołkowskim, ale po pierwsze - radio Ciołkowskiego nie odebrało żadnych sygnałów, nawet zniekształconych do niezrozumiałości, po drugie zaś - taka możliwość była mało prawdopodobna i z tego powodu, że tak Savage, jak i Challiers doskonale pojmowali daremność prób skomunikowania się w porze właśnie największych zakłóceń, przy nadchodzącym świcie), a gdy to się nie powiodło, bo Challiers w tym czasie już nie żył, Savage włożywszy skafander wybiegł w ciemność i począł szukać towarzysza.

Być może, wskutek zdenerwowania milczeniem Challiersa i niepojętym jego tak nagłym zniknięciem, zmylił drogę, albo raczej - gdyż on był z nich dwóch bardziej wprawnym i doświadczonym górolazem - usiłując systematycznie przeszukać poblizze Stacji, niepotrzebnie i nadmiernie ryzykował - dość na tym, że w trakcie tych poszukiwań karkołomnych upadł, strzaskawszy szkło hełmu. Miał jeszcze dość sił, aby, zaciskając ręką powstały otwór, dobiec do Stacji i wspiąć się ku klapie. Ale nim zamknął ją, nim wpuścił do komory powietrze, ostatek tlenu uciekł i Savage runął z ostatniego szczebla drabinki w omdlenie, które następne sekundy obróciły w śmierć.

To wyjaśnienie podwójnej tragedii nie przemawiało Pirxowi do przekonania. Zapoznał się dokładnie z charakterystyką obu Kanadyjczyków. Szczególną uwagę poświęcił przy tym Challiersowi, gdyż to on miał być mimowolnym sprawcą śmierci własnej i swego towarzysza. Challiers miał trzydzieści pięć lat. Był znanym astrofizykiem, ale i wprawnym alpinistą. Cieszył się doskonałym zdrowiem, nie chorował; nie znał zawrotów głowy - przedtem pracował na

..ziemskiej” półkuli Księżyca, gdzie stał się jednym z założycieli klubu gimnastyki akrobacyjnej, tej osobliwej dyscypliny, której adepci potrafią wykonać dziesięć salt z jednego odbicia przed pewnym lądowaniem na ugiętych nogach albo utrzymać na swych barkach piramidę dwudziestu pięciu ludzi !

I ten Challiers miał nagle bez żadnej przyczyny zasłabnąć czy dostać rozstroju jakiegoś, sto kroków od Stacji, i nie potrafiłby, nawet gdyby mu się coś takiego przytrafiło, zejść ku niej szerokim zboczem, lecz poszedłby pod prostym kątem, w fałszywym kierunku, przy czym musiał, przed dotarciem na ocalałą część drogi, pokonać w mrokach to wzgórze głazów, które ciągnęło się na tyłach Stacji właśnie w tym miejscu?

I był jeszcze drugi szczegół, który według Pirxa (ale nie tylko według niego) zdawał się, już bezpośrednio, przeczyć wersji przyjętej w oficjalnym protokole.

Na Stacji panował ład. Ale znaleziono jedną rzecz nie na miejscu: ową paczkę klisz na stole kuchennym.

Wyglądało na to, że Challiers wyszedł, aby zmienić klisze. Że zmienił je. Że wcale nie poszedł ku przepaści, nie dał się ku niej przez wał piargów, lecz najzwyczajniej wrócił do wnętrza Stacji. Świadczyły o tym klisze. Położył je na stole kuchennym.

Dlaczego tam?

I gdzie był wtedy Savage?

Naświetlone klisze, leżące w kuchni - orzekła komisja - musiały pochodzić z ekspozycji poprzedniej, porannej. Jeden z naukowców położył je na stole przypadkiem. Jednakże żadnych klisz przy ciele Challiersa nie znaleziono.

Komisja uznała, że paczka klisz mogła wysunąć się z kieszeni skafandra czy z rąk padającego w przepaść i zniknąć w jednej z tysięcznych szczelin skalnego rumowiska. Pirxowi wyglądało to na naciąganie faktów do przyjętej hipotezy.

Schował protokoły do szuflady. Nie musiał do nich już zaglądać. Znał je na pamięć. Powiedział sobie wtedy, a właściwie nie wyraził tej myśli słowami, bo była niewzruszoną pewnością - że rozwiązanie tajemnicy nie kryło się w psychice obu Kanadyjczyków. To znaczy, że nie było żadnego omdlenia, zasłabnięcia, zamroczenia przyczyna tragedii była inna. Kryła się w samej Stacji albo na zewnątrz niej. Zaczął od badania Stacji. Nie szukał żadnych śladów : chciał tylko dokładnie poznać wszystkie szczegóły urządzeń. Spieszyć się nie musiał, czasu było dość. Najpierw obejrzał komorę ciśnieniową. Kredowy kontur wciąż jeszcze widniał u stóp drabinki. Pirx zaczął od drzwi wewnętrznych. Jak zwykle w małych komorach tego typu urządzenie pozwalało otworzyć albo drzwi, albo klapę górnego wjazdu. Przy otwartej klapie drzwi nie można było odemknąć. Wykluczało to nieszczęśliwe wypadki, spowodowane na przykład tym, że ktoś otwiera

klapę, gdy równocześnie ktoś inny odmyka drzwi. Wprawdzie otwierały się do środka i panujące wewnątrz Stacji ciśnienie samo zatrzasnęłoby je z siłą niemal osiemnastu ton, ale między skrzydłem drzwi i framugą mogła się znaleźć na przykład czyjaś ręka albo twardy jakiś przedmiot czy narzędzie wtedy nastąpiłaby wybuchowa ucieczka powietrza w próżnię. Z klapą sprawa była o tyle bardziej skomplikowana, że jej położenie sygnalizował centralny aparat rozrządczy, mieszczący się w radiostacji. Przy otwarciu klapy zapalał się na jego pulpicie czerwony wskaźnik. Równocześnie włączał się samoczynnie odbiornik "zielonego sygnału". Było to szklane oko w niklowym pierścieniu, umieszczone w centrum również w oszklonej tarczy lokatora. Wachlowanie „motyłka” w oku powiadało, że znajdujący się na zewnątrz Stacji człowiek oddycha normalnie; ponadto świecąca smużka na tarczy lokatora, pokalibrowanej w segmenty, wskazywała, gdzie ten człowiek się znajdował.

Owa świecąca smużka wirowała zgodnie z obrotami umieszczonej na kopule anteny radarowej i ukazywała, pod postacią fosforycznie mżących konturów, poblizę Stacji.

W ślad za biegnącym jak wskazówka zegarowa promieniem, ekran wypełnia charakterystyczna poświata, powstająca przez odbicie fal radarowych od wszelkich materialnych obiektów - a odziane w metaliczny skafander ciało człowieka przedstawiało się jako rozbłysk szczególnej siły. Obserwując ową szmaragdową, wydłużoną plamkę, można też było dostrzec jej ruchy - gdyż poruszała się po słabiej świecącym tle - i tym samym kontrolować tempo i kierunek, w jakim się człowiek na zewnątrz Stacji posuwał. Górna część ekranu odpowiadała terenom pod szczytem północnym, gdzie znajdowała się studzienka badawcza; dolna połowa, oznaczająca południe, więc strefę podczas nocy zakazaną, była drogą ku przepaściom.

Mechanizmy "oddychającego motyłka" i lokacji radarowej były od siebie niezależne. "Oko" uruchamiał nadajnik połączony z zaworami tlenowymi skafandra, pracujący na częstotliwości bliskiej podczerwieni, a promień lokatora półcentymetrowe fale radiowe.

Aparatura posiadała jeden lokator i jedno oko, ponieważ instrukcja przewidywała, że tylko jeden człowiek może znajdować się na zewnątrz Stacji. Drugi, wewnątrz niej, śledził jego stan; w razie wypadku obowiązany był oczywiście natychmiast pośpieszyć mu z pomocą.

W praktyce, przy wycieczce tak niewinnej i krótkiej, jaką była wymiana klisz w studziencie, ten, który zostawał, mógł, otwarłszy dwoje drzwi - kuchenki i radiostacji - obserwować wskaźniki, nie przerywając kucharzenia. Można było też utrzymywać łączność głosową, bo przybliżanie się terminatora, linii granicznej dnia i nocy, oznajmiały ulewy trzasków, praktycznie uniemożliwiających rozmowę.

Pirx badał sumiennie grę sygnałów. Przy otwarciu klapy czerwona lampka zapalała się na pulpicie. Seledynowy wskaźnik jaśniał, lecz był nieruchomy, a jego "skrzydełka" stulone do

martwych nitek, gdyż brakowało zewnętrznych sygnałów, które by je rozpostarły. Promyk lokatora krążył miarowo po jego tarczy, wywołując na niej kształt skamieniałych duchów - nieruchome sylwety skalnego otoczenia. Nie rozbłyskiwał w żadnym miejscu swego obiegu, czym potwierdzał doniesienie oddechowego wskaźnika, że żadnego skafandra w promieniu jego działania na zewnątrz Stacji nie ma.

Pirx obserwował też, naturalnie, zachowanie aparatury, kiedy Langner wychodził zmieniać klisze.

Czerwona lampka zapalała się i prawie natychmiast gasła; gdy już z zewnątrz zamykał klapę. Zielony motylek zaczynał miarowo pulsować. Pulsowanie to przyspieszało nieznacznie po kilku minutach, bo Langner szedł w górę stoku dość szybko - nic dziwnego, że oddech jego przyspieszał. Jasny błysk jego skafandra widniał na ekranie znacznie dłużej od gasnących zaraz po przejściu promienia wodzącego konturów skał. Potem motylek nagle kurczył się i zamykał, ekran zaś stawał się pusty - rozbłysk skafandra nikł. To było wtedy, gdy Langner wchodził do studzienki. Jej wyłożone ołowiem ściany odcinały strumień sygnałów. Równocześnie na głównym pulpicie zapalał się purpurowy Alarm, a obraz widziany w lokatorze zmieniał się. Antena radaru, wirując wciąż tym samym ruchem, zmniejszała swe nachylenie, aby kolejno przeczesywać coraz to dalsze segmenty terenu. To działo się, ponieważ aparatura "nie wiedziała", co się stało: człowiek nagle znikł z zasięgu jej elektromagnetycznej władzy. Po trzech, czterech minutach motylek zaczynał znów wachlować, radar odnajdował zaginionego, oba niezależne układy rejestrowały jego ponowną obecność. Langner, opuściwszy studzienkę, wracał. Alarm płonął jednak dalej trzeba go było dopiero wyłączyć. Gdyby się tego nie zrobiło, czasowy wyłącznik czynił to sam po dwu godzinach. Żeby, w przypadku zapomnienia, aparatura niepotrzebnie nie pochłaniała zbyt wiele prądu. Bo podczas nocy czerpali go tylko z akumulatorów. W dzień ładowało je Słońce. Zorientowawszy się w działaniu tych urządzeń, Pirx uznał, że nie jest specjalnie skomplikowane. Langner do jego eksperymentów się nie wtrącał. Uważał, że wypadek Kanadyjczyków miał przebieg podobny do przedstawionego w protokołach Komisji, poza tym sądził, że wypadki muszą się zdarzać.

- Te klisze? - odparł na zarzut Pirxa. - Te klisze nie mają żadnego znaczenia. Człowiek nie takie rzeczy robi w zdenerwowaniu. Logika opuszcza nas dużo wcześniej niż życie. Wtedy każdy zaczyna postępować bezsensownie... Pirx zrezygnował z dalszej dyskusji.

Kończył się drugi tydzień księżycowej nocy. Pirx po wszystkich badaniach wiedział tyle, co na początku. Może naprawdę tragiczny wypadek miał zostać nie wyjaśniony na zawsze? Może był jednym ze zdarzeń trafiających się raz na milion - których zrekonstruować niepodobna? Wciągnął się z wolna do współpracy z Langnerem. Coś w końcu trzeba było robić, zapłacić czymś długie godziny. Nauczył się posługiwania dużym astrografem (a więc jednak była to zwykła praktyka

wakacyjna...), potem zaciął chodzić na zmianę z towarzyszem do studzienki, w której poddawano klisze wielogodzinnej ekspozycji.

Zbliżał się oczekiwany z niecierpliwością świt. Spragniony wiadomości ze świata, Pirx manipulował przy radiostacji, lecz wydobył z głośnika tylko zwiastujące niedaleki wschód słońca burze trzasków i gwizdów. Potem było śniadanie, po śniadaniu - wywoływanie płyt, nad jedną Langner ślęczał długo, bo znalazł wspaniały ślad jakiegoś rozpadu mezonowego, Pirxa nawet przywołał do mikroskopu, ale ten okazał się obojętny na uroki przemian jądrowych. Potem był obiad, godzina przy astrografach, wizualne obserwacje gwiazdowego nieba, zbliżała się pora kolacji. Langner krzątał się już w kuchni, gdy Pirx - to był jego dzień - wetknął w przejściu głowę przez drzwi i powiedział, że wychodzi. Langner, zajęty odczytywaniem skomplikowanej receptury na pudełku z proszkiem omletowym, mruknął mu, żeby się spieszył. Omlety będą za dziesięć minut.

Więc Pirx, z paczką klisz w garści, już w skafandrze, sprawdziwszy, czy ściągacze dobrze dociskają hełm do obsady kołnierzykowej, otworzył na oścież oboje drzwi kuchenne i z radiostacji - wszedł do komory, zatrzasnął drzwi hermetyczne, otworzył klapę, wylazł na wierzch, ale jej nie zamknął - właśnie, żeby szybciej wrócić. Langner i tak nie wybiera się na zewnątrz, więc w takim postępowaniu nie było nic złego.

Ogarnęła go ta sama ciemność, która jest wśród gwiazd. Ziemska nie dorównuje jej, bo atmosfera zawsze świeci słabym, pobudzonym promieniowaniem tlenu. Widział gwiazdy i tylko po tym, jak tu i ówdzie urywały się wzory znacznych konstelacji, po tej czerni bezgwiazdnej poznawał dookolną obecność skał. Zaświecił reflektor czołowy i z miarowo kołyszącą się przed sobą bladą plamą jasności dotarł do studni. Przełożył nogi w ciężkich butach przez cembrowinę (do księżycowej lekkości szybko się przywyka, trudniej do prawdziwego ciężaru po powrocie na Ziemię), zmacał na oślep pierwszy szczebel, zlął na dół i zabrał się do zmieniania klisz. Gdy kucnął i pochylił się nad stojakami, światło jego reflektora zamrugało i zgasło. Poruszył się, trącił ręką hełm - zapłonęło na powrót. A więc żarówka była cała, tylko nie kontaktowała dobrze. Zaczął zbierać naświetlone płyty - reflektor błysnął parę razy i znowu zgasł. Pirx ślęczał kilka sekund w absolutnej ciemności, niepewny, co począć. Droga powrotna nie stanowiła problemu - znał ją na pamięć, a poza tym na szczycie Stacji płonęły dwa światelka, zielone i niebieskie. Ale mógł po omacku potłuc klisze. Raz jeszcze uderzył pięścią w hełm - reflektor zajaśniał. Szybko zanotował temperaturę, wetknął naświetlone klisze do kaset, przy wkładaniu kaset do futerału przekłęty reflektor znów zgasł. Musiał odłożyć klisze, żeby kilkakrotnym uderzeniem w hełm zapalić go na powrót. Zauważył, że kiedy jest wyprostowany, reflektor płonie, a kiedy się nachyla - gaśnie. Musiał więc pracować w bardzo nienaturalnej pozycji. Nareszcie światło wysiadło już na dobre i żadne uderzenia nie pomagały. Teraz już o wracaniu na Stację, gdy miał wokół siebie porozkładane

klisze, nie było mowy. Oparł się plecami o najwyższy szczebel, odkręcił zewnętrzną pokrywę, wtłoczył rtęciowy palnik mocniej w osadę i założył pokrywę z powrotem. Światło już miał, ale, jak to czasem bywa, gwint nie chciał chwycić. Pirx próbował i tak, i owak - nareszcie, zniecierpliwiony, wetknął pokrywę z zewnętrznym szkłem reflektora do kieszeni, szybko zebrał klisze i rozłożywszy nowe, jął leżeć na górę. Był może pół metra od otworu studni, gdy wydało mu się, że w białe światło jego reflektora wmieszał się inny blask, chwiejny, krótkotrwały - spojrzał w górę, ale zobaczył tylko gwiazdy w wylocie studni.

Zdawało mi się - pomyślał.

Wylazł na wierzch, ale zdjął go jakiś niejasny niepokój. Nie szedł, biegł wielkimi susami, chociaż te księżycowe skoki wbrew temu, co niejeden sądzi, wcale nie przyspieszają biegu; są długie, ale też i leci się sześć razy wolniej aniżeli na Ziemi. Gdy był przy samej Stacji i rękę kładł na poręczy, zobaczył drugi błysk. Jak gdyby ktoś wystrzelił raketę w stronie południowej. Rakiety nie zobaczył, cały widok zasłaniała mu bania Stacji, tylko upiorny odbłask wiszarów skalnych: wyłoniły się na sekundę z czerni i znikły.

Jak mała wlaźł błyskawicznie na szczyt kopuły. Panowała ciemność. Gdyby miał raketnicę, strzeliłby, ale jej nie miał. Włączył swoje radio. Trzaski. Piekielne trzaski. Kłapa była otwarta. Więc Langner siedział w środku.

Nagle pomyślał, że jest idiotą. Jaka rakietka? To na pewno był meteor. Meteory nie świecą w atmosferze, bo Księżyc jej nie ma : świecą, gdy z kosmiczną szybkością roztrzaskują się o skały.

Skoczył do komory, zamknął kłapę, wypuszczenie powietrza zajęło chwilę, wskazówki pokazywały właściwe ciśnienie: 0,8 kg na centymetr kwadratowy ; otworzył drzwi i, ściągając w biegu hełm, wpadł do korytarzyka.

- Langner!! - zawołał.

Odpowiedziało mu milczenie. Tak jak stał, w skafandrze, wpadł do kuchni. Ogarnął ją jednym spojrzeniem. Była , pusta. Na stole - talerze, przygotowane do kolacji, w rondelku rozbełtana papka omletowa, patelnia obok już włączonego grzejnika.

- Langner! - ryknął, rzucając trzymane w ręku klisze i skoczył do radiostacji. Była również pusta. Nie wiadomo skąd, wezbrała w nim pewność, że nie ma co szukać w obserwatorium, że Langnera nie ma na Stacji. Więc to jednak były rakiety, te błyski? Langner strzelał? Wyszedł? Czemu? Szedł w stronę przepaści!

Nagle zobaczył go. Zielone oko mrugało : oddychał.

A obracający się promień radaru wyławiał z ciemności mały, ostry błysk - w najniższej części ekranu'. Langner szedł ku przepaści...

- Langner ! Stój ! Stój !!! Słyszysz? Stój !!! - krzyczał w mikrofon, nie spuszczając z oka

ekranu. Głośnik chrobotał. Trzaski zakłóceń, nic więcej. Seledynowe skrzydełka wachlowały, ale nie jak przy normalnym oddechu: poruszały się powoli, niepewnie, czasem zamierały na długą chwilę... jakby aparat tlenowy Langnera przestawał pracować. A ten ostry błysk w radarze był bardzo daleko pojawiał się na wrysowanej w szkło siatce współrzędnych u samego dołu ekranu, oddalony o półtora kilometra w linii prostej... więc już gdzieś pośród stojących dęba wielkich pionowych płyt pod Bramą Słoneczną. I nie poruszał się wcale. Jaśniał, przy każdym obrocie promienia wodzącego, w tym samym dokładnie miejscu, Langner upadł? Leży tam, nieprzytomny?

Pirx wybiegł na korytarz. Do komory ciśnień, na zewnątrz! Dopadł drzwi hermetycznych. Ale gdy biegł obok kuchni coś mignęło mu, czarnego, na białym nakrytym stole. Te klisze fotograficzne, które przyniósł i machinalnie rzucił, przerażony nieobecnością towarzysza. To go jakby sparaliżowało. Stał na progu komory z hełmem w rękach i nie ruszał się z miejsca.

To jest to samo, jak wtedy. To samo - pomyślał Przygotowywał kolację: nagle wyszedł. Teraz ja wyjdę za nim i... obaj nie wrócimy. Kłapa zostanie otwarta. Za kilka godzin Ciołkowski zacznie wzywać przez radio. Nie będzie odpowiedzi...

Coś krzyczało w nim: „Wariacie, idź! Na co czekasz! On tam leży! Może porwała go lawina, zeszła ze szczytu, nie słyszałeś, bo tu nic nie słysząc, on jeszcze tyje, nie rusza się, nie spadł, ale żyje, oddycha, prędeż.. “

A jednak stał bez ruchu. Nagle zawrócił, wpadł do radiostacji, przyjrzał się dobrze wskaźnikom.

Wszystko było bez zmiany. Raz na cztery, pięć sekund powolne rozszerzenie „motylka”, drgające, niepewne. I błysk w radarze - na skraju przepaści...

Sprawdził kąt nachylenia anteny. Był minimalny. Nie ogarniała już pobliza Stacji, wysyłała impulsy na maksymalny zasięg.

Zbliżył twarz do oddechowego wskaźnika, tak że miał go tuż przed oczyma. Zobaczył wtedy coś dziwnego. Zielonkawy „motyl” nie tylko rozkładał i zwijał skrzydełka, ale zarazem drgał cały miarowo, jakby na rytm oddechowy nałożony był drugi, daleko szybszy. Drgawki agonalne? Konwulsje?

Tamten konał, a on, z wpółotwartymi ustami, wpatrywał się chciwie w ruchy katodowego płomyczka wciąż takie same, powolne, ząbkowane drugim rytmem... Nagle, sam dobrze nie rozumując, dlaczego to robi, chwycił kabel antenowy i wyrwał go z kontaktu. I stała się zdumiewająca rzecz: wskaźnik, z odłączoną anteną, oderwany od impulsów zewnętrznych, zamiast znieruchomieć, wachlował ciągle to samo...

Wciąż w tym niepojętym osłupieniu Pirx dopadł do pulpitu i zwiększył nachylenie anteny radarowej. Daleki błysk, trwający pod Bramą Słoneczną, począł wędrować ku krawędzi ekranu.

Radar wychwytywał coraz bliższe sektory otoczenia, aż nagle pojawił się w nim drugi rozbłysk, daleko większy i silniejszy. Drugi skafander! To na pewno był człowiek. Poruszał się. Powoli, miarowo schodził w dół, wymijając na swej drodze jakieś przeszkody, bo skręcał raz w lewo, raz w prawo - i zmierzał prosto ku Bramie Słonecznej, ku tej drugiej, dalekiej iskierce - ku drugiemu człowiekowi?

Pirxowi omal oczy nie wyszły z głowy. Iskry były naprawdę dwie, bliska - ruchoma, i daleka - bezwładna.

W Mendelejewie było dwu ludzi, Langner i on. Aparatura mówiła, że jest ich trzech. Nie mogło być trzech. Więc kłamała.

W czasie krótszym od potrzebnego, aby to wszystko przemyśleć, był już w komorze z raketnicą i nabojami. Po następnej minucie stał na wypukłości kopuły i raz po raz strzelał sygnałowymi raketami, mierząc stromo w dół, wciąż w jednym kierunku - Bramy Słonecznej. Ledwo nadażał z wyrzucaniem gorących łusek. Ciężka kolba raketnicy skakała mu w rękę. Nie słychać było nic, po spuszczeniu cyngla przechodził lekki cios odrzutu, wykwiwały smugi ognia, zieleń brylantowa i purpurowy płomień, strzelający kroplami czerwieni, i wytrysk gwiazd szafirowych - walił raz za razem, nie przebierając w kolorach... Aż z dołu z nieskończonych mroków błysnęło w odpowiedzi, i pomarańczowa gwiazda, wybuchając nad jego głową, oświetliła go i obsypała, jakby w nagrodę, deszczem płonących strusich piór. I druga deszczem szafirowego złota.

Strzelał. I tamten strzelał, wracając: błyski odpaleń zbliżały się. Aż w którymś zobaczył widomą sylwetkę Langnera. Poczul nagłą słabość. Całe jego ciało pokryło się potem. Nawet głowa. Ociekał, jakby wylazł z kąpieli. Nie puszczając raketnicy, usiadł, bo nogi zrobiły się nieprzyjemnie miękkie w kolanach. Zwiesił je w dół przez otwartą klapę do wnętrza komory i czekał, dysząc, na Langnera, który był tuż.

To było tak. Kiedy Pirx wyszedł, Langner, zajęty w kuchni, nie patrzył na wskaźniki. Zobaczył je dopiero po kilku minutach. Nie wiadomo dokładnie, po ilu. W każdym razie musiało to być wtedy, gdy Pirx manipulował przy gasnącym reflektorze. Kiedy znikł z pola widzenia radaru, automat zaczął zmniejszać nachylenie anteny i czynił to tak długo, aż wirująca wiązka promieni dotknęła podnóża Bramy Słonecznej. Langner zobaczył tam rozbłysk, który wziął za obraz skafandra, tym bardziej że nieruchomość rzekomego człowieka tłumaczyły wskazania oka magicznego : tamten (oczywiście pomyślał, że to Pirx) oddychał jak nieprzytomny - jakby się dusił. Langner, na nic już nie czekając, natychmiast włożył skafander i pobiegł na ratunek.



Obraz w radarze ukazywał w rzeczywistości najbliższą z szeregu aluminiowych tyk, tę, która stoi nad samą przepaścią. Langner może by się w pomyłce zorientował, ale było wszak jeszcze wskazanie “oka”, które zdawało się wspierać i potwierdzać radarowe.

Gazety pisały potem, że “okiem” i radarem zawiadywała elektronowa aparatura, rodzaj mózgu elektronowego, w którym podczas katastrofy Rogeta utrwalił się rytm oddechowy tego konającego Kanadyjczyka i “mózg” powtarzał go, ów rytm, gdy zachodziła “podobna sytuacja”.

Że to był rodzaj odruchu warunkowego na pewien określony stan “wejść” elektrycznej sieci.

W rzeczywistości rzecz miała się daleko prościej. Na Stacji nie było żadnego “mózgu elektronowego”, a tylko zwykły automatyczny rozrząd, pozbawiony jakiegokolwiek “pamięci”. “Agonalny rytm oddechowy” powstawał wskutek przebicia małego kondensatora; dawało ono znać o sobie tylko wówczas, kiedy otwarta była kłapa wyjściowa. Napięcie przeskakiwało wtedy z jednego obwodu w drugi i na siatce “oka magicznego” powstawało “dudnienie”. Tylko na pierwszy rzut oka przypominało “agonalny oddech”, gdyż przyjrząwszy się lepiej, można było bez trudu dostrzec nienaturalne drżenie seledynowych skrzydełek. Langner szedł już ku przepaści, gdzie, jak sądził, znajduje się Pirx - oświetlał sobie drogę reflektorem, a w miejscach nieprzejrzystych rakietami. Dwa ich odpalenia zauważył Pirx, gdy wracał do Stacji. Pirx z kolei po czterech czy pięciu minutach zaczął przyzywać Langnera strzałami z raketnicy - i na tym się ich przygoda skończyła.

Z Challiersem i Savage’em stało się inaczej. Savage też może powiedział wychodzącemu Challiersowi: “Wróć szybko”, tak jak to powiedział Pirxowi Langner. A może Challiers spieszył się, bo się zaczytał i wyszedł później niż zwykle. Dostyc, że nie zamknął kłapy. Potrzebne było, aby błąd aparatury mógł dać zgubne rezultaty - drugie jeszcze przypadkowe skojarzenie czynników: coś musiało idącego po klisze zatrzymać w studzience tak długo, aby antena radaru wznosząca się o kilka stopni przy każdym następnym obrocie odnalazła wreszcie aluminiową tykę nad przepaścią. Co zatrzymało Challiersa? Nie wiadomo. Awaria reflektora prawie na pewno nie: zdarza się zbyt rzadko. Coś jednak opóźniło jego powrót dostatecznie długo, aż pojawił się w ekranie fatalny rozbłysk, który Savage, jak potem Langner, wziął za obraz skafandra.

Opóźnienie musiało wynosić co najmniej trzynaście minut: stwierdziły to wykonane potem próby.

Savage poszedł ku przepaści, by szukać Challiersa. Challiers, wróciwszy ze studzienki, zastał Stację pustą, zobaczył ten sam obraz, co Pirx - i sam z kolei wyszedł, na poszukiwanie Savage’a. Być może Savage, dotarłszy do Bramy Słonecznej, poniewczasie zorientował się w tym, że radar ukazywał tylko obraz metalowej rurki wbitej w piarg, ale w drodze powrotnej upadł i

rozbił szybkę skafandra. Może i nie dociekł mechanizmu zjawiska, a tylko po daremnych poszukiwaniach, nie mogąc znaleźć Challiersa, zapędziwszy się w jakieś przepaściste miejsce, upadł - tych wszystkich szczegółów nie dało się wyświetlić. Dostyc, że obaj Kanadyjczycy zginęli. Katastrofa mogła się wydarzyć tylko o świcie. Bo gdy nie było radiowych zakłóceń, pozostający na Stacji człowiek mógł prowadzić rozmowę z wychodzącym, nawet nie opuszczając kuchni

Katastrofa mogła się wydarzyć tylko wtedy, gdy wychodzący się spieszył. Zostawiał wtedy klapę otwartą : jedynie wtedy, przy takiej konfiguracji połączeń, ujawniał się błąd aparatury. Ale poza tym temu, kto się spieszy, łatwiej na ogół może się przytrafić, że wróci później, właśnie dlatego, bo chciał wrócić wcześniej. Że upuści w pośpiechu paczkę klisz, że coś potrafi - takie rzeczy zdarzają się przy pośpiechu. Obraz radarowy jest mało wyraźny : z odległości tysiąca dziewięciuset metrów metalową tykę łatwo wziąć za skafander stojącego człowieka. Gdy zachodzi zbieg wszystkich okoliczności, katastrofa była możliwa, a nawet prawdopodobna. Pozostający - dodajmy dla zupełności - musiał być w kuchni czy gdziekolwiek indziej, w każdym razie nie w radiostacji, gdyż wtedy widziałby, że jego towarzysz odchodzi we właściwym kierunku, i nie wziąłby potem pojawiającego się na południu drobnego rozbłysku za skafander.

Challiers, oczywiście, nie przez przypadek znaleziony został tak blisko miejsca, w którym zginął Roget. Spadł w przepaść otwierającą się pod miejscem, oznaczonym aluminiową tyką. Tyka znajdowała się tam, aby ostrzegać przed przepaścią; Challiers szedł w tym kierunku, bo myślał, że zmierza do Savage'a.

Mechanizm fizyczny zjawiska był trywialnie prosty. Wymagał tylko określonego następstwa kilku wypadków i obecności takich czynników, jak zakłócenia radiowe i otwarta klapa komory ciśnieniowej.

Bardziej może godny uwagi był mechanizm psychologiczny. Kiedy aparatura, pozbawiona impulsów zewnętrznych, wprawiała w ruch "motylka oddechowego" oscylacją wewnętrznych napięć, a na radarze pojawiał się obraz fałszywego skafandra, najpierw pierwszy, a potem drugi przychodzący człowiek brał to za wskazania stanu realnego. Najpierw Savage myślał, że widzi u przepaści Challiersa, potem - Challiers, że Savage'a. To samo zdarzyło się potem Pirxowi i Langnerowi.

Dojście do podobnego wniosku ułatwione było przez to, że każdy z ludzi na Stacji znał doskonale szczegóły katastrofy, która pochłonięła życie Rogeta, i pamiętał, jako rys specjalnie dramatyczny, historię długiej agonii tamtego nieszczęśnika, do końca wiernie przekazywanej obserwatorium na Stacji przez "oko magiczne".

Jeśli więc - jak ktoś zauważył - można było w ogóle mówić o "odruchu warunkowym", to przejawiała go nie aparatura, lecz sami ludzie. Na pół świadomie dochodzili do przeświadczenia, że

w niepojęty jakiś sposób nieszczęście Rogeta powtórzyło się, wybierając tym razem za ofiarę jednego z nich.

- Teraz, kiedy wiemy już wszystko - powiedział Taurow, cybernetyk z Ciołkowskiego - powiedzcie nam, kolego Pirx, jak zorientowaliście się w sytuacji? Mimo że jak sami powiadacie, nie zrozumieliście mechanizmu zjawiska... - Nie wiem - powiedział Pirx. Przez okno była białość osłonecznionych szczytów. Ich ostrza, jak kości wyprażone w ogniu, tkwiły w gęstej czerni nieba. - Chyba przez klisze. Kiedy je zobaczyłem, zrozumiałem, że rzuciłem je tak samo, jak Challiers. Może bym jednak poszedł, gdyby nie jeszcze jedna rzecz. Z kliszami, to, w końcu, mógł być przypadkowy zbieg okoliczności. Ale mieliśmy na kolację omlety - tak samo jak oni, w ten ich ostatni wieczór. Pomyślałem, że za wiele już tych przypadków: że to jest coś więcej niż ślepy traf. Te omlety... myślę, że to one nas uratowały...

- Otwarta kłapa była funkcją przyrządzenia omletów, jako wezwanie do pośpiechu, rozumowaliście więc całkiem prawidłowo, ale to by was nie uratowało, gdybyście całkowicie zaufali aparaturze - powiedział Taurow.

Z jednej strony musimy jej ufać. Bez elektronowych urządzeń kroku nie zrobilibyśmy na Księżycu. Ale... za takie zaufanie czasem trzeba płacić...

- To prawda - odezwał się Langner. Wstał. - Muszę wam powiedzieć, panowie, czym najbardziej zaimponował mi mój towarzysz gwiazdowy. Co do mnie, z tej karkołomnej przechadzki wróciłem raczej bez apetytu. Ale on - położył rękę na ramieniu Pirxa - po wszystkim, co zaszło, usmażył te omlety i zjadł co do jednego. Tym zadziwił mnie! Bo wprawdzie przedtem już widziałem, że jest bystry i zacny do pocziwości...

- Jaki?! - spytał Pirx.